Nr. 165. 523 Lwów — Piątek dnia 21 Lipca. 1[illegible]

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.
Cena prenumeraty we Lwowie: Bez dostawy miesięcznie 75 ct. Z dostawą do domu 1 złr.
Prenumeratę miejscową przyjmują: [illegible]
Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena p[renumeraty] [illegible]
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje [illegible] DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. [illegible]

Dziś: śr. św. Praksedy P. Pankratya Jep.
Jutro: cz. św. Maryi Magd. S. S. 45 Męcz.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 4 m. 27 Zachód „ „ 7 „ 41
Długość dnia g. 15 m. 14 Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 lipca.

Na dalekich lądach azyatyckich rozgrywa się dramat, którego przebiegu śledzi niecierpliwie ludność dwóch największych mocarstw kolonialnych w Europie, jedno z nich bowiem, Francya, odgrywa w nim czynną rolę, a drugie t. j. Anglia, zaangażowane jest pośrednio. Od kilku tygodni już wiadomo, że między rządem francuskim a królestwem Syamu w Indyach zagangesowych, graniczącem z jednej strony z posiadłościami Francyi: Kochinchiną, Tonkinem, Kambodżą, — z drugiej zaś z angielską Birmą, istnieje jakiś zatarg i że między ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu a tamtejszem poselstwem syamskiem odbywa się wymiana not dyplomatycznych. Naraz cztery dni temu doniósł telegram: że w nocy z 14 na 15 lipca dwie kanonierki francuskie pod wodzą admirała Humanna przebyły niebezpieczną mieliznę u ujścia rzeki Menam, będącą niejako bramą do położonej o 40 kilometrów wyżej nad tą samą rzeką stolicy Syamu, półmilionowego miasta Bangkoku; że pod ogniem działowym z fortów syamskich popłynęły one 40 kilometrów w górę i stanęły na kotwicy przed samym Bangkokiem. Nazajutrz przybyła do nich jeszcze trzecia kanonierka „Forfait". Odtąd flotylla ta, zaopatrzona w dalekonośne działa najnowszej konstrukcyi, stoi jak wryta w porcie, do którego na mocy międzynarodowych traktatów nie wolno zawijać żadnym okrętom wojennym. Równocześnie niemal doniosły depesze, że także w innym punkcie królestwa syamskiego toczą się już kroki nieprzyjacielskie, a mianowicie, że piechota marynarki francuskiej zdobyła forty Donhaen i Taphem, położone nad rzeką Mekong, na wschodniej granicy Syamu, że oddział syamskiego wojska stoczył bitwę z milicyą sprzymierzonych z Francuzami Anamitów i zostało pobite, wreszcie, że Syamczycy zatopili francuski parowiec pocztowy „Jean Baptiste Say". Wszystko to wygląda na akty otwartej wojny, niewiadomo tylko, z czyjej winy ona wybuchła. Jeśli trafną jest jurydyczna reguła: „Is fecit, cui prodest", to zawiniła Francya. Lecz zanim powiemy słów kilka o celach, jakie może mieć Francya względem Syamu, warto przypatrzyć się bliżej temu tak mało dotychczas w Europie znanemu krajowi. Syam jestto królestwo bardzo rozległe, gdyż najdalsza granica jego północna, stykająca się z Chinami, oddalona jest od granicy południowej mniej więcej tak, jak Petersburg od Konstantynopola. Obszar jego wynosi przeszło 800.000 kwadratowych kilometrów, liczba ludności zaś około 9 milionów, z czego przypada 6 na syamczyków, a 3 na plemiona laotyjskie. A zatem na jeden kwadratowy kilometr nie wypada nawet ośmiu mieszkańców. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że ludność dla tego jest tak nieliczną, iż ziemia nie może jej więcej wyżywić. Przeciwnie, Syam jest jednym z najurodzajniejszych i najbogatszych krajów na ziemi. Główna, kolosalna jak Wołga, rzeka Menam, t. z. „Matka Wód" jest Nilem syamskim, corocznie bowiem wylewa, zostawiając na polach żyźny namuł. Zaledwie czwarta część urodzajnych pól w Syamie jest uprawianą, a jednak zbiory z tych pól wystarczają nie tylko na wyżywienie całej ludności, ale dają bardzo pokaźną przewyżkę na export, który przynosi rocznie kilkanaście milionów dolarów. Głównymi produktami kraju są: ryż, trzcina cukrowa, kawa, tytoń, bawełna, indigo. Lasy tamtejsze zawierają bardzo drogocenne drzewa, w głębi ziemi zaś leżą olbrzymie skarby złota, cyny i innych metali, górnictwo jednak zaledwie gdzie niegdzie kiełkuje, tak samo, jak handel i przemysł.

Syamczyk jest bowiem leniwy i nie troszczy się o jutro. Garść ryżu i kilka fig — to jego całodzienne pożywienie, a o nic więcej on się nie troszczy; przedsiębiorczego ducha nie ma wcale. Z tego powodu nie mogli Syamczycy oprzeć się konkurencyi przybyszów chińskich, którzy ujęli cały handel w swoje ręce. Drugim powodem, dla którego Syamczycy żyją tylko z dnia na dzień, jest to, że większość ich pozostaje w niewoli. Nie tylko bowiem jeńcy wojenni i ich dzieci są tam niewolnikami, ale także dłużnicy, niemogący się uiścić z długu i ich krewni; niewolnik zaś jak wiadomo pracuje tylko tyle, ile koniecznie musi. Wreszcie panująca w Syamie religia buddyjska przeszkadza także ekonomicznemu rozwojowi tego państwa. Przepisuje ona bowiem mnóstwo świąt w roku, każe odbywać dalekie pielgrzymki do wielu świętych rzek, stawów i pagód, zaleca co dzień znaczną część dnia oddawać medytacyom. Syamczycy, będąc najpobożniejszymi ze wszystkich ludów buddyjskich, przestrzegają ściśle wszelkich przepisów swej religii. Z drugiej strony religii buddyjskiej zawdzięcza Syam wysoką cywilizacyę, bodaj najwyższą wśród ludów wschodnich. Kapłani buddyjscy są zarazem nauczycielami, a spełniają to zadanie nadzwyczaj sumiennie. Jak filozofowie starej Grecyi, tak oni z uczniami swymi toczą ciągłe dysputy filozoficzno-teologiczne. Ale oświata ludowa i po naszemu pojęta tam stoi wysoko, bo wedle zapewnień Anglików, 95 proc. syamczyków posiada wielkie i małe abecadło, każdy z nich przynajmniej z lepszej rodziny, ukończywszy dwudziesty rok życia, idzie do klasztoru przynajmniej na jeden rok i spędza ten czas w samotności na studyowaniu świętych ksiąg buddyjskich. Dzisiejszy król syamski 40-letni Chulalongkorn, jest człowiekiem bardzo wykształconym, mówi płynnie po angielsku i zwolna wprowadza europejskie reformy w swem państwie. Wkrótce po wstąpieniu na tron wydał on ustawę, że każdy, kto się urodził niewolnikiem, dochodząc dwudziestego roku życia staje się wolnym, przed dziesięciu zaś laty urządził w swem państwie poczty i telegrafy. Urzędnikami pocztowymi są tam po części Europejczycy, po części zaś wykształceni Syamczycy, listonoszami zaś niewolnicy, którzy popadli w niewolę za długi. Niewolników tych wynajmuje rząd od wierzycieli owych dłużników. Armia syamska liczy 13.000 żołnierzy, tudzież oddział słoniów. Organizacyę tej armii przeprowadzili oficerowie włoscy i duńscy.

Aż do roku 1885 miał Syam oryginalną formę rządu, panowali tam bowiem równocześnie dwaj królowie, którzy dzielili się władzą, dopiero zaś teraźniejszy król Chulalongkorn ograniczył zwolna władzę drugiego króla, aż w r. 1885 zniósł ją zupełnie.

Łatwo tedy pojąć, że kraj tak bogaty i tak mało wyeksploatowany, jak Syam, budzi apetyt sąsiadujących z nim Francuzów, których polityka dzisiejsza dąży ku wzmacnianiu i rozszerzaniu kolonii zamorskich. Chcieliby oni zatem, jeżeli już nie podbić, to przynajmniej wciągnąć w sferę swych wpływów indochińskich to jedyne niezależne jeszcze państwo za Gangesem, a boją się, aby nie uprzedziła ich Anglia, która dąży do tego samego celu i przez zajęcie Birmy usadowiła się już w Indochinach tuż w sąsiedztwie Syamu.

Wiadomość o tem, że kanonierki francuskie przemocą wpłynęły do portu w Bangkoku i że z obu stron padły strzały, sprawiła w Anglii wielkie wrażenie. W parlamencie londyńskim wniesiono zaraz odpowiednią interpelacyę. Z odpowiedzi, którą dał na nią sekretarz stanu Grey, wynika, że rząd angielski był zaskoczony tymi wypadkami. Grey przyznał, że sytuacya jest bardzo poważna, ale szczegółowych wyjaśnień nie mógł udzielić już z tego powodu, że nie wie nawet dokładnie, jakie pretensye rości Francya do Syamu. Wiadomo mu tylko, że republika żąda wynagrodzenia szkody, jaką ponieść mieli francuscy kupcy i podróżni z winy urzędników syamskich, dalej że istnieje jakiś bardzo skomplikowany spór graniczny o kilka punktów położonych w dolinie rzeki Mekong, wreszcie, że Syamczycy mieli porwać do niewoli oficera francuskiego Thereusse'a, wszelako prawdopodobnie już go wypuścili na wolność. Szczegółową odpowiedź przyrzekł Grey udzielić wtedy, gdy nadejdzie raport od posła angielskiego w Bangkoku, a co się tyczy gwałtownego wpłynięcia kanonierek francuskich do portu w Bangkoku, wyraził przypuszczenie, że admirał francuski działał w tym wypadku wbrew instrukcyom otrzymanym z Paryża. Wobec tego spodziewano się, że rząd francuski, jeżeli rzeczywiście zależy mu na tem, aby nie wywoływać większego zatargu i całą sprawę spokojowo załatwić, potwierdzi to przypuszczenie reprezentanta rządu angielskiego. To jednak dotychczas nie nastąpiło, owszem Francya wystosowała ultimatum, w którem daje rządowi syamskiemu termin 48godzinny na stanowczą odpowiedź: czy spełni francuskie żądania bez żadnych zastrzeżeń, czy też nie? Zdaje się przeto, że admirał francuski miał polecenie nie zważać na prawo międzynarodowe i stworzyć to, co się w polityce nazywa „czynem dokonanym", aby następnie można było wziąć Syam pod władzę francuską, jak przed kilku laty wzięto już Anam. Lecz tym razem sprawa będzie nieco trudniejsza, bo wówczas protestowały tylko Chiny, dziś zaś zapewne zaprotestuje Anglia. Przewidując to, wołają paryskie dzienniki, że Francya nie ustąpi Brytanii, jak jej ustąpiła w Egipcie. Zobaczymy!

Deputowany śląski do parlamentu niemieckiego Polak Letocha, złożył — jak czytelnikom naszym wiadomo — w ubiegły czwartek swój mandat. Teraz opublikował on list otwarty do przewodniczącego w komitecie wyborczym okręgu Katowice-Zabrze, a w tym liście ustąpienie swoje motywuje w następujących słowach:

„Dotychczas starałem się uczciwie o usprawiedliwienie zaufania, które wyborcy moi we mnie położyli, i o zadośćuczynienie żądaniom wyborców.

„Że mi się to udawało i że wyborcy moi byli zadowolnieni ze mnie, tego dowodzi trwałe łączenie się niemal wszystkich głosów na moją osobę. Również i przy ostatnich wyborach padło z 26.077 oddanych i ważnych głosów 24.340 na mnie.

„Po przejrzeniu list wyborczych przekonałem się jednak, że tysiące wyborców moich stoi na innem politycznem stanowisku i tylko jako przyjaciele projektu wojskowego w tem przypuszczeniu na mnie głosowali, że po ich myśli za projektem wojskowym głosować będę. Inne tysiące moich wyborców są natomiast przeciwnikami projektu wojskowego i spodziewali się odemnie głosowania przeciw projektowi.

„Przyjaciele projektu oskarżają mnie teraz za negatywne stanowisko moje o „oszustwo". Ten sam zarzut a równocześnie zarzut zdrady dokonanej na stronnictwie centrum, spotyka mnie w moim okręgu wyborczym za usunięcie się od głosowania. Nie mogąc rozwiązać konfliktu, zdobyłem się choć z ciężkiem sercem na postanowienie złożenia mandatu, którego zresztą nie szukałem, lecz na usilne żądania mężów zaufania przyjąłem".

KORESPONDENCYE.

Chicago 28 czerwca.

W dzisiejszej mojej korespondencyi zamiast wystawą, zajmę się trochę sprawami polskiemi w Ameryce, rozpoczęła się tu bowiem batalia zarządu centralnego Związku narodowego Polskiego przeciw cenzorowi tegoż zarządu, p. Przybyszewskiemu.

Sejm zeszłoroczny Polaków amerykańskich uchwalił następną sesyę odbyć w roku bieżącym d. 4go września w Chicago z powodu wystawy, tymczasem cenzorowi, mającemu prawo w szczególnych razach zwoływania sejmu nadzwyczajnego, podobało się zwołać sejm na dzień 21 sierpnia r. b. Wybuchła więc walka, która zajmuje całe szpalty dzienników naszych, a przyznać trzeba, że o ile polemika pomiędzy rządem centralnym a cenzorem toczy się w tonie bardzo przyzwoitym, o tyle panowie „redaktorzy" raczą się epitetami, niemającymi nic wspólnego ani z etyką dziennikarską, ani z przyzwoitością.

Kwestyi nie ulega żadnej, że ani cenzor, ani rząd centralny nie mają prawa zmieniać uchwały sejmowej, która postanowiła odbycie sejmu koniecznie we wrześniu. Na mocy tak wyraźnego prawa rząd centralny naznaczył dzień 4go września na otwarcie sejmu w Chicago i uchwałę swą przesłał do zatwierdzenia cenzorowi, który jednak podpisu swego odmówił, a natomiast zwołał sejm na dzień 21 sierpnia r. b., motywując swoje postanowienie tem, że przy końcu lipca wyjeżdża dużo Polaków z Europy na wystawę do Chicago, więc chce, aby i oni mogli być obecni na sejmie.

Powód ten jest rzeczywiście dla Polaków europejskich bardzo miły i przeważa szalę ich sympatyi na stronę cenzora, mimo to zasada pozostanie zawsze zasadą, od której chyba tylko w nadzwyczajnych a szczególnie ważnych wypadkach odstępować można. Grupy związkowe, a jest ich około 200, prawie wszystkie skłaniają się ku rezolucyi rządu centralnego, to też zapewne cenzor, głowa Związku, ustąpi rządowi centralnemu i zgodzi się na otwarcie sejmu d. 4go września r. b., nie chcąc się przyczyniać do rozdwojenia. Tak jeden jak drugi sejm byłby w razie oporu cenzora nielegalnym, a uchwały jego nie doczekałyby się nigdy wykonania.

W swojej odezwie do narodu pisze cenzor między innemi:

„W sprawach tak wielkiej wagi nie dzielmy się na partye, niech w tym przypadku znikną rozterki rozrywające nasze społeczeństwo, tylko razem dążmy do jednego celu, a jest nim zachowanie naszej narodowości w Ameryce.

„Przytem dla drugich braci bądźmy wyrozumiałymi i pobłażliwymi. Tego żądają od nas rodacy nasi w starym kraju, tego żąda Ojczyzna, skrępowana kajdanami niewoli. Kłócić i szarpać się wzajemnie nam nie wolno!"

Zdaje się więc, że cenzor postąpi według swoich własnych słów i ustąpi, co z pewnością dla Polaków tutejszych będzie korzystnem pod każdym względem; uniknie się po pierwsze rozdwojenia, a po drugie: gazety niemieckie tutejsze, ogromnie chciwo na polskie „awanturki", nie będą miały sposobności szydzić z nas w dotkliwy sposób.

Zgoda jest bezwarunkowo wskazaną w tym wypadku i w obecnym czasie tem bardziej, że żywioł anarchiczny zaczyna sobie wśród naszych niedowarzonych półgłówków zdobywać zwolenników. Dowodem na to jest odsłonięcie pomnika anarchistów niemieckich na cmentarzu Waldheim, które odbyło się w ubiegłą niedzielę. Smutna to zaiste rzecz, że prócz mowy niemieckiej i czeskiej, wypowiedziano jeszcze mowę polską, a miał ją niejaki Rybakowski, b. redaktor anarchicznej *Reformy*, który chce gwałtem zostać założycielem polskiej kolonii komunistycznej w Oregonie lub Waszyngtonie. Czy mu się uda, wątpić należy, gdyż na szczęście Polacy tutejsi, mając zupełną wolność i swobodę, nie bardzo chętnie sprzyjają nowatorom w rodzaju Rybakowskiego i jemu podobnych. Niewielka to garstka zapaleńców, których, jak twierdzą znawcy polsko-amerykańskich stosunków, własny ich ogień strawi.

W tych dniach ukazał się pierwszy zeszyt dzieła, rozpoczętego na większą skalę przez ks. Łuczyckiego w Manitowoc. Jest to „Album opisowo-obrazowe emigracyi polskiej w Ameryce". W pierwszym zeszycie, który się bardzo ładnie przedstawia, znajduje się wyczerpujący opis kolonii polskiej w Milwaukee tak pod względem umysłowym jak towarzyskim i ekonomicznym. Zeszyt ten zdobi kilkanaście fotodruków, przedstawiających wybitniejszych Polaków, grupy towarzystw, widoki kościołów i gmachów polskich. Wydawnictwo to jest zupełnie na czasie, gdyż da nan pogląd dokładny na rozrzucone po całej niemal Ameryce kolonie polskie i, jeżeli tylko nadal przedmiotowo prowadzonem będzie, może oddać niemałe usługi Polakom w Ameryce.

Pomimo ostrzeżeń p. Modrzejewskiej, znającej doskonale stosunki kalifornijskie, organizuje się tutaj spółka Polaków, która ma na celu kupno i eksploatacyę jednej z najbogatszych pono kopalń złota w Kalifornii. Badał tę kopalnię na miejscu p. Maryański i ręczy za to, że kopalnia przyniesie spółce ogromne zyski. Wątpić jednak należy, czy tak będzie w istocie, gdyż gdyby kopalnia przynosiła ogromne zyski, to jej obecny właściciel z pewnościąby jej się nie pozbywał. — Amerykanin przecież nigdy nie powie: „mam już dosyć pieniędzy, niech teraz drugi zarobi". I w tym wypadku zapewne ruda złota już jest na wyczerpaniu, mądry yankes chce jeszcze coś na tem zarobić i dać Polakom nowy dowód przysłowia: „mądry Polak — ale po szkodzie".

Traktat rosyjsko-amerykański o wydawaniu przestępców został ogłoszony i obowiązuje od czterech dni. Wzburzenie panuje wskutek tego wielkie i wszystkie niemal narody, zamieszkujące Amerykę, organizują mityngi w celu unieważnienia traktatu. Najenergiczniej zajęli się tą sprawą Polacy, którzy w przyszłym miesiącu urządzają monstre-mityng w Filadelfii. Takie mityngi odbędą się jednocześnie zwołane przez inne narodowości, w kilku miastach.

Jest pewna nadzieja, że rząd ustąpi wobec nacisku obywateli i traktat wypowie. W każdym razie obowiązywać on musi co najmniej rok cały.

List otwarty do Bismarka.

VII.

Podczas długiego okresu rządów cesarza Wilhelma I., w którym Pan jako „nieprzezroczysty" minister byłeś prawie wszechwładnym, poruszyłeś Pan niejedną bardzo doniosłą kwestyę i próbowałeś ją rozwiązać. Uczyniłeś Pan to jednak nie tyle dla tego, że czułeś potrzebę ulepszenia i wydoskonalenia wewnętrznej organizacyi swej ojczyzny, ile raczej z nudów i skutkiem wrodzonej Panu żyłki wojowniczej.

I tak n. p. prawie bezpośrednio po przeprowadzeniu organizacyi zjednoczonych Niemiec zainscenizowałeś Pan ów osławiony kulturkampf. Co Pan właściwie przez tę walkę uzyskać chciałeś, na to zdaje mi się nawet sam nie mógłbyś dać rozumnej odpowiedzi. Militarne państwo, stworzone przez Pana, i wyposażone cokolwiek średniowiecznymi warunkami życia, należy przecież do tego rodzaju organizmów państwowych, które korzeniami swymi zrośnięte są z Kościołem. Wzajemna pomoc Kościoła i państwa jest, jak o tem Pan bardzo dobrze wiedzieć powinieneś, jedną z głównych podstaw egzystencyi takiego organizmu, a każde podjudzanie przeciw Kościołowi musi otworzyć na oścież wrota krytyce istniejących stosunków politycznych. A zatem z zasadniczego punktu widzenia stanąłeś Pan przez tę walkę, którą całkiem fałszywie „kulturną" zowią, w dyametralnej sprzeczności z samym sobą. Z praktycznego zaś stanowiska rzecz biorąc, dostarczyłeś Pan tylko dowodu, że nie miałeś najmniejszego pojęcia ani o potędze papiestwa ani o sile odpornej Kościoła katolickiego. A do tego trzeba jeszcze wziąć na uwagę pańską brutalność w użyciu broni, którą posługiwałeś się w tej walce, a która Panu z pewnością zaszczytu nie przynosi. Przeciw ludziom bowiem, którzy walczyć mogą tylko słowem, wystąpiłeś Pan z sękatym kijem. Cudacką tę walkę religijną, lekkomyślnie rozpoczętą i nierozumnie, bo z prawdziwie policyjną żądzą prześladowczą prowadzoną, zarzuciłeś Pan wkrótce sam,

---

35)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Wkrótce potem panie Talskie opuszczały mieszkanie Klotyldy. Ledwo wyszły na ulicę, matka nie mogąc dłużej już wytrzymać, zawołała:

— Jakaś ty była niemiłosna przez całą tę wizytę, to ja już nie wiem! O! ja cię znam! Z umysłu zaraz się na nietakty, żeby matce dokuczyć! A ja jeszcze żeś nieszczęśliwa! Za tyle poświęceń, za tyle ofiar!

Panna Władysława milczała. Zagadkowy uśmiech przewijał się do koła jej ust, [illegible]

— Cóż ci do głowy strzeliło zapraszać samej tego Soligny-Kierczyńskiego? To się dopiero nazywa kompromitować siebie. Jeżeli on nie pomyśli, że ty się sama narzucasz — no!

— Niech pomyśli! — rzekła panna Władysława dobitnie.

A gdy matka oszołomiona, wznosiła tylko oczy w niebo, potykając się o nierówny, wyślizgany asfalt, panna [illegible] i mówiła dalej [illegible] głosem:

— Czy mama na prawdę nie domyśla się, że [illegible] względu na panią Danieckią?... [illegible] wiem, że państwo Martwicowie i tych paru panów pozostaną mytem. Mama nie ma na to, żeby wydawać proszone obiady na kilkanaście osób. Biedna pani Klotylda znudziłaby się śmiertelnie. Nie po to się idzie w towarzystwo, żeby nas własni synowie emablowali. Zresztą wszak pan Tadeusz ma także swoich przyjaciół, czy nie ma?

Pani Talska popatrzyła na córkę z dobrodusznym zachwytem. W postępowaniu z nią przechodziła ciągle z nagan do uwielbień, z wymówek do zachwytu.

— Prawda, Władziunu, prawda! — zawołała uradowana. — Nie przyszło mi to od razu na myśl. Ale twoja mądra główka wszystko od razu przewidzi. [illegible] Czy pan Aleksander, kto wie? może on się i zajmuje Ewunią. Prawda?

[illegible]

Pani Talska zamyśliła się. Dreptała czas jakiś obok córki, [illegible] Wreszcie rzekła:

— Jak się nad tem lepiej zastanawiam, tak widzę, że trzeba będzie koniecznie zaprosić jeszcze kogoś z panów. Może być trzy pary!

ROZDZIAŁ VIII.

„Skromny obiadek" miał się ku końcowi, ku wielkiej pociesze gości i ulże gospodyń. Pani Talska, przez oszczędność trzymała tylko kucharkę; [illegible]

Nie dziw więc, że w takim składzie je[illegible] czy zupa była leciutko przydymioną i leciutko przesoloną, majonez nie trzymał się ryby, kalafiory nasiąkły nazbyt wodą; zające wysuszyły się na drzazgi, a galaretka pączowa z nadmiaru żelatyny okazała się tak twardą, że trzeba [illegible]

Pani Talska, w koronkowym fanszoniku, przekrzywionym trochę ze wzruszenia, nadrabiała miną; [illegible]

[illegible] nie pił; umaczawszy usta w kieliszku rublowego sauternu skrzywił się nieznacznie i [illegible] Talskiej, zaspakajał pragnienie wodą sodową.

[illegible] córce domu, a zarazem sąsiadował z Ewunią, [illegible] mężczyzna, jasny blondyn w binoklach, dobrego wzrostu, dobrej tuszy, z dobrem spojrzeniem i z dobrym uśmiechem na otoczonych krótkim, przystrzyżonym zarostem ustach.

Był on urzędnikiem w jednem z Towarzystw ubezpieczających, miał dosyć znaczną pensyę, [illegible] partyę. Nie żenił się jednak [illegible] nie ożeni, chociaż nie wyglądał bynajmniej na człowieka złamanego zawodem sercowym. Nazywał się Aleksander Brodzki.

Pani Talska, która w owych czasach, kiedy wśród innych grubszych od niego ryb na matrymonialnych wodach ubiegał się o względy świeżej panny, traktowała go trochę z góry, [illegible] kiedyś, jeżeli wszystkie inne nadzieje zawiodą, córka jej będzie musiała do tego małżeńskiego portu zawinąć.

Panna Władysława [illegible]

Pan Aleksander [illegible]

Panna Władysława kwitła dziś i przekwitała w jego oczach, szereg konkurentów i adoratorów rzedniał, gorycz i niesmak gasiły coraz bardziej dawny dowcip i werwę królowej balów; i jemu czasem w rozdrażnieniu opryskliwsze słowo się dostało. Pani Talska z niedelikatnością starych kobiet zacietrzewionych w swoich celach, używała go niejednokrotnie [illegible] Pan Aleksander [illegible]

I teraz, zobaczywszy Tadeusza, domyślił się zaraz, o co chodziło.

Znał na pamięć taktykę pani Talskiej; mógł naprzód powiedzieć, kiedy, który z jej manewrów [illegible]

Wstano wreszcie od stołu. Trzy pary przeszły [illegible] do salonu, [illegible] przedpokój.

Bawialnia pani Talskich tworzyła rażące przeciwieństwo z salonem Klotyldy. [illegible] jak dziecko nie mające głosu, ani sądu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[illegible] przez to położyłeś, jest [illegible] jak niedostateczne są [illegible] umysłowe do rozwiązania [illegible] politycznych. [illegible] się Pan także jeszcze w jedną [illegible] mianowicie chciałeś stosunki han[illegible] i ekonomiczne swej ojczyzny [illegible] ego pomysłu na nowo urządzić. [illegible] ie, Boże zmiłuj się! nie chcę [illegible] ć, w tej dziedzinie bowiem nie [illegible] abecadła odnośnych umiejętności i [illegible] nawet w stanie jasno pojąć kon[illegible] cyi swych własnych zarządzeń. To je[illegible] nie ulega wątpliwości, że gdyby się by[illegible] anu udało przeprowadzić rzeczywiście swe [illegible] ny nowej organizacyi stosunków kościelnych [illegible] handlowo-politycznych, co przy władzy, ja[illegible] ą Pan wówczas miałeś, było rzeczą możliwą, wówczas nastałyby w dziedzinie zarówno polityki wewnętrznej jak i zewnętrznej tak chaotyczne stosunki, że dalsza egzystencya zjednoczonych Niemiec byłaby na seryo zakwestyonowana. Na szczęście jednak postąpiła nauka w Niemczech wówczas już tak daleko, że sfery oświecone przewidziały grożące niebezpieczeństwo i utworzyły prąd przeciwny, który jakkolwiek w obec powagi pańskiej, opartej na masach pospólstwa, wystąpił w formie mocno zamglonej, mimo to jednak był dość potężnym, aby zyskać górę i zmusić Pana do odwrotu. Te lata jednak, w których wisiało w powietrzu wywołane przez Pana niebezpieczeństwo, nad sprowadzeniem którego pracowałeś Pan z właściwym sobie uporem, przeżyły sfery inteligentne w bardzo ponurem usposobieniu, które nawet dziś jeszcze nie poszło w zapomnienie.

Natomiast pańskie wmięszanie się w kwestyę socyalną ubawić musi każdego. Nie miej mi Pan tego za złe, przecież i najgenialniejszy człowiek nie jest obowiązany umieć wszystko, ale rozumny człowiek nie będzie się mięszał do rzeczy, której nic a nic nie rozumie. Pan bo próbowałeś całkiem na seryo stłumić ruch socyalistyczny małym stanem oblężenia — a to po prostu wygląda na farsę. Walka rycerza hiszpańskiego z wiatrakiem jest niczem w obec tego. Od ołowianej atmosfery, wiszącej nad Europą, w której nikt nie ma ochoty do śmiechu, odbija ten obrazek, na którym widać jak patrol policyjny chce wypróżnić i zamknąć olbrzymi warsztat socyalizmu, jak uśmiechnięty promień słońca majowego.

Powiedziałeś Pan sam razu pewnego, że w postulatach klas pracujących znajduje się „ein Körnchen Wahrheit". Jakkolwiek możnaby z tego wnosić, że bodaj instynktem odczuwałeś Pan idee, które kryją się na dnie ruchu robotniczego, to jednak właśnie ta uwaga pańska dowodzi jasno, że o głębszem znaczeniu i historycznej doniosłości socyalizmu nie miałeś Pan najmniejszego pojęcia. Kto chce wtłoczyć socyalizm w granice kwestyi robotniczej, choćby nawet w granice stosunku pracy do kapitału, ten robi tak samo, jak gdyby chciał tum koloński schować do kapelusza.

Nie potrzeba być koniecznie socyalistą, wystarczy być człowiekiem wykształconym i niezawiśle myślącym, aby zrozumieć, że socyalizm dąży nietylko do tego, aby demokratyczną zasadę równości uczynić podstawą kwestyi codziennego chleba, ale że ma on także wyższy i szlachetniejszy cel: rozdziału w równej mierze między ludzi światła duchowego wykształcenia. Dopiero, gdy ludzkość uwolni się od materyalnych trosk o chleb, rozpocznie się ta druga epoka socyalizmu w historyi. Kwestya chleba jest tylko środkiem do osiągnięcia tego drugiego, właściwego celu.

Tylko powierzchowny znawca warunków życia, badając cele socyalizmu, da się zbałamucić tem, że pierwszym jego objawom towarzyszą wstrętne zamachy i pospolite zbrodnie. Tak jak przyjście na świat każdego organizmu zwierzęcego odbywa się w brzydkich formach, tak samo chce prawo natury, aby każda wielka idea wyłaniała się wśród wstrząsających serce i umysł bolów porodowych. Socyalizm w dalszej swej drodze przejdzie może jeszcze niejedną nieprzewidzianą fazę, będzie miał mnóstwo przeszkód do zwalczenia, zasadniczą myśl jego zejdzie niejeden raz może na bezdroża, mimo to jednak z siłą żywiołu, którą posiada każda nowa a żywotna myśl, przebijać się będzie bez przerwy i ujawni kiedyś te formy życia, które dziś dopiero na dnie jego leżą.

Ustawiczne trzymanie ruchu socyalnego na wodzy nie leży już dziś w granicach możliwości, a tem mniej jego zupełne stłumienie. Opłaciłoby się natomiast zastanowić nad wynalezieniem środków, któreby propagandzie socyalnej uniemożliwiły dopuszczanie się szkodliwych wybryków i kierunek duchowy zmusiły do powolnego i spokojnego rozwoju. Jestto zadanie tak piękne, że rozumny kierownik państwa w pocie czoła powinien nad niem pracować; jednakże w korporacyi dyplomatów, przyzwyczajonej prowadzić życie z dnia na dzień, tylko wyjątkowo znaleść się może mąż stanu, który pojmie tak daleko sięgające zadanie — a Pan do tych wyjątków nie należysz.

Zróbmy jeszcze raz krótki rachunek i zestawmy aktywa pańskiej polityczności głównej: Obejmuje ona zatem z gruntu chybiony traktat pokojowy z Francyą, zestawienie prowizorycznej budowli zjednoczonych Niemiec, przygniatający ciężar podatku krwi i mienia, zatamowanie duchowego i materyalnego rozwoju narodu niemieckiego, przekształcenie wszystkich państw europejskich w obozy wojenne, nieudałą walkę kulturną, partacką próbkę reform handlowo-politycznych i śmieszną wojnę policyjną z socyalizmem, do tego wszystkiego, aby już o niczem nie zapomnieć dodajmy jeszcze pański wprawdzie nie dość energiczny antysemityzm i wściekłą nienawiść do Polaków. Oto cały tobołek, który Pan zabierzesz ze sobą w drogę do historyi. Jaki rachunek ona z Panem zrobi, odgadnąć nie trudno, nie wiemy tylko, czy ten rachunek jeszcze się nie powiększy i — kto go zapłaci.

KRONIKA.

Lwów 20 lipca.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Nadwórnie rozpisała z terminem do końca sierpnia rb. konkurs na posadę starszego nauczyciela w pięcio-klasowej szkole męskiej i na posadę starszej nauczycielki w pięcio-klasowej szkole żeńskiej w Nadwórnie.

Losowanie. Wczoraj w stowarzyszeniu katolickiem czeladzi rzemieślniczej „Skała" odbyło się publiczne losowanie premii z fundacyi śp. Wincentego Łodzia Ponińskiego, przeznaczonej dla tych czeladników rzemieślniczych, którzy mają uzdolnienie i prawną kwalifikacyę do samodzielnego wykonywania rzemiosła, ale dla ubóstwa nie są w stanie założyć osobnego dla siebie warsztatu. Do tegorocznego losowania przystąpiło 1139 czeladników rzemieślniczych. Pierwszą premię w kwocie 864 zł. wyciągnął Jan Kulczycki, czeladnik krawiecki; drugą w kwocie 720 złr. Antoni Czernicki, czeladnik murarski; trzecią w kwocie 576 złr. Stan. Czepla, czeladnik szewski, a czwartą w kw. 432 zł. Józef Szczupaj, czeladnik kowalski.

Muzyka wojskowa 55 pp. grać będzie jutro w piątek w ogrodzie miejskim. Początek produkcyi o godzinie pół do 7.

Deportacya. Ks. Piotr Endryk, proboszcz parafii hanuszyskiej, dekanatu mereckiego, został z rozkazu jenerał-gubernatora Orżewskiego deportowany do gubernii wołogodzkiej na pięć lat.

„Wianki". Uroczystość wianków i ćwiczenia gimnastyczne w Przemyślu odbędą się dnia 23 bm. tj. w niedzielę z niezmienionym programem.

Egzamin dojrzałości w Brodach złożyli: Karol Deloff, August Jendel, Alfred Sausenhofen, Jan Potopnyk, Felicyan Prochaska, Jędrzej Woźniak, Józef Zastyrzec (wszyscy siedmiu z odznaczeniem); Maks Balban, Jędrzej Gajek, Roman Judejko, Marek Kapelusz, Maurycy Knebel, Edward Kosanowski, Wolf Lechowicz, Józef Lindenbaum, Kazimierz Lipski, Bar. Littman, Zygmunt Malfait, Kazimierz Missona, Samuel Niemand, Józef Piotrowski, Mikołaj Rycar, Adam Senetra, Marcel Schaff, Józef Sochor, Wiktor Świsterski, Marek Wolfram, Zygmunt Zawadzki i Józef Zgórski; prywatnie: Tadeusz Sanetra i Salomon Nussbaum, tudzież eksterniści: Michał Berkowicz, Paweł Chajes, Samuel Freud, Abraham Kreminer i Henryk Kobritz.

Jednemu pozwolono poprawić z jednego przedmiotu po sześciu tygodniach, trzech reprobowano na rok, a dwóch odstąpiło od egzaminu. Dnia 16 bm. odbyło się uroczyste wręczenie świadectw.

Z powodu wiadomości o zgonie śp. Seweryny Duchińskiej panuje w prasie naszej formalny galimatyas. Wczoraj równocześnie z innemi pismami donieśliśmy o zgonie zasłużonej poetki, dziś jedne dzienniki twierdzą, że ta wiadomość jest fałszywą, gdyż p. Duchińska żyje, a umarł jej mąż, znany historyk Franciszek Duchiński, Kijowianin, i że przyczyną tej mistyfikacyi był źle stylizowany telegram z Paryża, natomiast są takie, które donoszą o zgonie obojga Duchińskich. Stoimy zatem wobec przykrej niepewności, czy smutna katastrofa odnosi się do obojga małżonków, czy do jednego z nich, i do którego.

Rodak nasz, inżynier górniczy Modest Maryański, odkrył w Shasta County w Kalifornii o 4 i pół mili ang. od kolei żelaznej i miasta Redding, a dwie i pół mili ang. od rzeki Sacramento, wielkie kopalnie złota, nazwane obecnie: „Original Quartz Hill Gold mine". Jak donosi chicagoska *Gazeta Katolicka*, — z której wiadomość powyższą czerpiemy — zawiązał się już komitet celem zorganizowania spółki do nabycia i eksploatacyi nowo odkrytej kopalni.

Klęski elementarne. W okolicy Tarnopola szalała dnia 18 bm. około godziny 7 wieczorem straszna burza. Grad nadzwyczaj gęsty porobił ogromne szkody, szczególniej we wsiach: Toustoługa i Zaścańce, gdzie wszystkie ziemiopłody ogromnie ucierpiały. Wszystkie rośliny zbożowe do szczętu zniszczone; jęczmiona i owsy mocno ucierpiały. Szkody olbrzymie.

Bursa w Brodach. W bursie tej ukończyło 14 uczniów gimnazyalnych rok szkolny 1893 z dobrym postępem. Jedyny przebywający w bursie 8-klasista, J. Zastyrzec, złożył egzamin dojrzałości z wyszczególnieniem. Bursa założoną została w roku 1873 na uczczenie 25-letniej rocznicy wstąpienia na tron Cesarza Franciszka Józefa I i zawdzięcza swe 20-letnie istnienie emerytowanemu radzcy Namiestnictwa, a ówczesnemu staroście w Brodach, p. Teofilowi Mandyczewskiemu, który chociaż od 14 lat mieszka zdala, zawsze jeszcze interesuje się nią.

Z Zakładu ciemnych. W uzupełnieniu naszego sprawozdania o popisie w tutejszym Zakładzie ciemnych donosimy, iż p. Sławiczek udziela w tym Zakładzie gry na skrzypcach i częściowo na organach, oraz nauki śpiewu choralnego; znakomite zaś postępy w nauce gry na fortepianie zawdzięczają uczniowie tego Zakładu niezmordowanej pracy zamianowanej od lat 7 nauczycielki tego przedmiotu p. Maryi z Jabłonowskich Zaychowskiej.

Klub „tłuściochów". Pod tą nazwą zawiązał się w Poznaniu nowy klub, którego członkiem może być osoba ważąca najmniej sto kilogr. Klub ten liczy 42 członków.

Młodzi fałszerze. Przed ławą sądu przysięgłych w Wiedniu, stawali w tych dniach trzej żydzi: 19-letni Lico Adutt, 20-letni Benvenisti i 22-letni Weiss, oskarżeni o to, iż za pomocą fałszywych weksli wystawianych na firmę Russo i Sp. wyłudzili z austro-węgierskiego Banku 80.000 złr. Fałszerstwo udawało się im dlatego, że Adutt był zatrudniony jako kantorzysta u firmy Russo i Sp. i był obeznany z jej manipulacyą. Oskarżeni przyznali się do winy, a trybunał na zasadzie werdyktu sędziów przysięgłych skazał Adutta na 6 lat, Benvenistiego na siedm, a Weissa na pięć lat ciężkiego więzienia.

Korpus wakacyjny dziewcząt, liczący z górą [illegible] wycieczki, które trwać będą przez całe wakacye. Szczęśliwa myśl wprowadzenia w życie tych wycieczek zrodziła się w łonie komitetu już przed trzema laty, do zrealizowania jej jednak nie było można przystąpić tak dla braku funduszów, jak dla braku łatwo uzdolnionych w tym kierunku kierowniczek. Dziś trudności te przełamał komitet dzięki staraniom pp. Zdzisławowstwa Marchwickich i gotowości pań nauczycielek.

Dla informacyi interesowanych dodajemy, że korpus dziewcząt wyrusza na wycieczki o godzinie 8-mej rano ze szkoły im. Staszica pod bacznem okiem, a umiejętnem kierownictwem pp: M. Popowiczowej, byłej kierowniczki kolonii rymanowskiej, Michaliny Wallek i Heleny Wątorskiej. Jako miejsce wycieczkowe wybrano Wysoki Zamek i Strzelnicę miejską, gdzie dziatwa do godziny 10 zabawia się grami gimnastycznemi. O godzinie 10-tej otrzymuje lekki posiłek, po którym następują znowu zabawy gimnastyczne, jak: ćwiczenia i gry w obręcze, gra w piłkę, footbal, zawody, reje, ćwiczenia na krążniku itp. O godzinie 12 powrót do domu.

Zamiarem komitetu jest umożliwić dzieciom należącym do korpusów, przynajmniej dwukrotną w tygodniu kąpiel natryskową. Zapisywać można codziennie przed godziną 8 w szkole im. Staszica, ul. Skarbkowska, bezpłatnie.

Nieporozumienie. Angielskie Towarzystwo biblijne w Carogrodzie miało niedawno zabawne zajście z policyą turecką. Wydało ono świeżo po turecku list św. Pawła „do Galatów". Policya aresztowała kolportera pod zarzutem, iż rozdaje jakąś odezwę do mieszkańców dzielnicy carogrodzkiej, zw. Galatą. Uwolniono go dopiero wtedy, gdy zdołał dowieść, że św. Paweł od dawna umarł.

Dziwna choroba. Na jednem z ostatnich posiedzeń Towarzystwa lekarskiego w Montpellier, dr. Maret przedstawił pewną pacyentkę, dotkniętą dziwną nerwową chorobą. Mianowicie zdaje się jej, że w pewnych chwilach ze sukni jej sypie się złoto, a nawet, że kawałki złota ukrywają się w fałdach jej skóry. Ten złoty deszcz jednak rozdrażnia ją i wywołuje w niej silne uczucie bojaźni. Zdaje się jej bowiem, że wszyscy ją posądzają, iż ona złoto to ukradła. Ta sama trwoga napada ją, gdy ujrzy otwartą szafę lub biurko, w którychby mogło złoto być.

Aby się uspokoić, musi chora ta zamknąć oczy, ukląć, a następnie głośno wyliczyć wszystkie meble, znajdujące się w pokoju. Gdy się jej powie: „dobrze już wszystko wyliczyłaś", wówczas wyciera sobie ręce i na pewien czas odzyskuje spokój i wolną jest od swej choroby. Na chorobę tę cierpi już od lat przeszło 12.

W ostatnich czasach stan jej zdrowia znacznie się pogorszył.

Kurs gimnastyki dla nauczycieli szkół ludowych z miast i miasteczek Galicyi otwartym będzie z polecenia Rady szkolnej krajowej w Kole gimnastycznem nauczycieli szkół ludowych we Lwowie z dniem 24 b. m. Na kurs ten przeznaczyła Rada szkolna 13 nauczycieli z Brodów, Bóbrki, Brzeżan, Drohobycza, Gródka, Jarosławia, Kołomyi, Sanoka, Sambora, Śniatyna, Stanisławowa, Stryja i Tarnopola. Każdy uczestnik kursu otrzyma zapomogę z Rady szkolnej, „Koło" zaś da bezpłatne pomieszczenie w szkole Mickiewicza. Wykłady i ćwiczenia trwać będą 8 dni.

Z Nowego Sącza nam piszą dnia 16 lipca: Onegdaj odbyły się w tutejszym kościele farnym prymicye ks. Jana Wilczyńskiego, z bliskiej wioski Zabełcza. Ks. Wilczyński jest synem włościanina, który to stan również jak i mieszczański dają ołtarzom jak najliczniejsze zastępy, świadcząc o żywotności tych klas. Ks. Wilczyński jest z liczby dwunastym w tym roku wyświęconych. Ta pierwsza służba kapłańska wywiera szczególniejszy wpływ na obecnych: asysta dziewic w bieli z wianuszkami na głowach, te chorągwie i dzwony, ta procesya, prowadzona przez kilku kapłanów, są jakby godami weselnemi młodego kapłana, wstępującego w nowy okres życia.

Z niezwykłych gości, jacy w naszej okolicy w lecie przebywają, jest tu p. Michał Bałucki. Bawi on w Rytrze z rodziną, a przyjechał na całe lato. Znakomity pisarz osiadł w malowniczem miejscu, gdzie na urwisku skały uwiesiły się zwaliska starego zamku średniowiecznego.

Zawitał tu także ks. Jan Cygański i bada źródła do dziejów sądecczyzny po roku 1772, t. j. do czasów „rewindykacyi" naszego kraju, czyli [illegible] wyzbywania dóbr koronnych w obawie przed bliskiem „odwindykowaniem" tego polskiego kraju.

Nasi Sokoli, jak co roku, tak i tym razem, robili wycieczkę do Zegiestowa i Żulina, gdzie byli szczerze przyjmowani. Gmach ich już na dokończeniu, a stanął cudem prawie wdowim groszem publiczności, która odczuwa ważność tej instytucyi.

Przedwczoraj Jordany poświęcali swój sztandarek, a gwoździe wbijali dostojnicy sądeccy.

Oprócz p. prezydenta sądu p. Szklarskiego, który poszedł na pensyę, postradaliśmy jeszcze dwie wybitne osobistości, a to radzcę p. Stebelskiego, który przeszedł do apelacyjnego sądu w Krakowie i p. Bazylego Jaworskiego, pierwszego komisarza skarbu, który został radzcą w Czortkowie. Obaj byli długi czas z nami. Obaj miłą zostawili pamięć po sobie. *W. D.*

Z Tarnopola piszą nam:

[E. B.] Dnia 16 bm. zmarł tutaj nagle ks. Bazyli Fortuna, urodzony w roku 1816, dziekan, kanonik honorowy kapituły lwowskiej, komisarz ord. w sprawach szkolnych, delegat ord. do egzaminów nauczycielskich, komisarz ord. dla spraw serwitutowych, członek Rady szkolnej okręgowej w Tarnopolu, odznaczony złotym krzyżem zasługi z koroną, radny m. Tarnopola i gr. kat. paroch w Tarnopolu.

Był to mąż prawy i zacny, pełen cnót obywatelskich, prawdziwy duszpasterz, któremu przykazanie Boże: „kochaj bliźniego jak siebie samego", nie było czczą tylko literą, a który za życia swego nikomu — bez różnicy wyznania lub narodowości — nie odmówił swej rady ni pomocy. Dowodem nadzwyczajnej popularności nieodżałowanego śp. zmarłego jest to, że nawet żydzi uczuli się obowiązanymi oddać hołd zasłużonemu około dobra swych współobywateli słudze Bożemu.

Zbór izraelicki wziął udział w pogrzebie, a nadto wydał do żydów tarnopolskich odezwę, aby zechcieli uczestniczyć jak najliczniej w obrzędzie pogrzebowym i żeby podczas pogrzebu pozamykali wszystkie sklepy i publiczne lokale i tym sposobem dali wyraz czci i szacunku dla nieodżałowanego śp. zmarłego.

To też nieprzejrzane tłumy ludności zarówno tutejszej jak okolicznej towarzyszyły orszakowi pogrzebowemu, a cała inteligencya miasta stawiła się in corpore, aby oddać ostatnią posługę nieodżałowanemu śp. zmarłemu. — R. i. p.

Zarząd Bursy w Samborze otwiera z dniem 1-go września b. r. internat dla uczniów gimnazyalnych na miejsc 30. Podania wnosić należy najdalej do 16-go sierpnia b. r. do Zarządu Towarzystwa Bursy na ręce p. Ksawerego Neumana, sekretarza magistratu. Do podania dołączyć należy metrykę chrztu, świadectwo zdrowia, świadectwo szkolne z ostatniego półrocza, lub potwierdzenie złożonego egzaminu wstępnego do gimnazyum, oświadczenie rodziców, lub opiekunów, ile na utrzymanie i potrzeby ucznia miesięcznie ofiarują.

Pięciu uczniów przyjmie Zarząd Bursy bezpłatnie. Ci mają przedłożyć nadto świadectwo ubóstwa przez urząd parafialny i gminny potwierdzone.

Synowie nauczycieli szkół ludowych powiatu Samborskiego mają pierwszeństwo.

Z izby rękodzielniczej lwowskiej. Zwraca się uwagę szanownych korporacyi (stowarzyszeń) rękodzielniczych w kraju naszym, a mianowicie tych, które przez nieustającą komisyę przemysłową Rady Państwa w Wiedniu zawezwane zostały do wyboru z grona swego zastępcy jako eksperta w sprawie zmiany Ust. Prz., by na odnośnem piśmie imię i nazwisko, jako też i zawód swego zastępcy, również na arkuszu pytań pisemnie swe zapatrywanie w języku niemieckim, lub krajowym wypisały, pieczęciami swego towarzystwa zaopatrzyły i odnośne pisma zastępcy swemu wydały, aby on mógł się tą legitymacyą w biurze Rady Państwa wykazać.

Przytem zwraca się uwagę, że koszta podróży drugą klasą i dyety za stracony czas z funduszów Rady Państwa zwrócone będą.

Pożar w Łomnie. Dopiero w trzynaście dni po katastrofie dochodzi nas wiadomość o wielkim pożarze fabryki cellulozy w Łomnie w powiecie turczańskim. Pożar wybuchł 7 b. m. i do szczętu zniszczył fabrykę tak, że tylko maszyny i parę pomniejszych budynków fabrycznych zdołano uratować. Ogień wybuchł aż w dwóch miejscach, widocznie więc był podłożony. Pierwszy raz wybuchł o godzinie 4 rano, stłumiono go jednak szybko i szkody nie było prawie żadnej. W cztery godziny później, t. j. o ósmej nad ranem wybuchł pożar powtórnie i teraz już rozszalał się na dobre, niszcząc kolosalny, pustką stojący gmach fabryczny. Szkoda przechodzi cyfrę 70.000 złr., była jednak ubezpieczona. Komisya sądowa zaraz po katastrofie przyjechała do Łomny i przez kilka dni wiodła energiczne śledztwo. O rezultacie jego nic nie wiadomo.

Fabryka cellulozy w Łomnie stała od roku 1891, a zatem od dwóch lat dopiero, pustką. Za-

---

Dwie powieści.

Bardzo wonny i ciepły obrazek osnuł Maryan Gawalewicz na temacie odwiecznym, a mimo to zawsze świeżym, bo główną treścią i ozdobą jego „Mgły" („Mgła", powieść, nakład Gebethnera i Wolffa) jest miłość dra Krempla do panny Pawłockiej, choć się autorowi może inaczej zdawało.

Młody lekarz, dr. Krempel, poznaje pannę Eugenię Pawłocką przy łożu chorej jej matki, którą usiłuje wydrzeć z paszczy śmierci.

Świetną partyą nie jest panna Pawłocka ani stanowiskiem towarzyskiem, ani majątkiem, ani wkońcu „wyższą" inteligencyą. Córka introligatora, choć skończyła gimnazyum i uzyskała patent na nauczycielkę, nie ma czasu na dalsze nauki. Zastępując młodszemu rodzeństwu matkę, zajmuje się „pospolitą" pracą kobiety ubogiej; gospodaruje w domu, szyje, ceruje, pilnuje porządku w warsztacie ojca. Gra wprawdzie trochę na fortepianie i czyta od czasu do czasu to i owo, co jej w ręce wpadnie, ale czyni to dorywczo, w chwilach wolnych od obowiązków codziennych.

Mimo to podobała się drowi Kremplowi, człowiekowi lepszego towarzystwa, z zamożnej pochodzącemu rodziny.

Lekarza zachwyciły, oprócz urody, pracowitość i prostota dziewczyny. Przypatrzywszy się z bliska jej życiu czynnemu, jej dobroci w stosunku do jej chorej matki i do rodzeństwa, wnioskował słusznie, że będzie kochającą żoną i troskliwą opiekunką własnych dzieci. Więc nie oglądając się na żadne względy drugorzędne, oświadczył się o pannę Eugenię Pawłocką i postanowił stanąć z nią jak najprędzej na ślubnym kobiercu.

Romans Eugenii z Kremplem, malowany przez Gawalewicza z dyskrecyą dobrego smaku, podłożony ciepłym tonem, byłby sam w sobie bardzo ładną nowelą. Zdrowie wieje od tych dwojga młodych ludzi, złączonych z sobą wstęgą wzajemnego pociągu serdecznego. Odbijają oni korzystnie od legiona zwyrodniałych postaci „szkiców i obrazków" ostatnich lat kilku.

Ale Gawalewiczowi nie dość było miłości Eugenii i Krempla, zbyt spokojnej, równej, pozbawionej ciekawych powikłań, aby mogła wypełnić dwieście przeszło stronic. Rozciągając nowelę do rozmiarów powieści, wsunął do akcyi kilka postaci, które mają być żywą ilustracyą usposobień i prądów chwili obecnej.

Jego Franek (dlaczego ciągle: Franek, Adaś, Genia, Gucio itd.?) Gajski, panicz bogaty, dziedzic kilku folwarków, udaje, „robi" zblazowanego, pozytywistę, materyalistę, pesymistę i Bóg wie nie co, bo niewiadomo właściwie, w co wierzy, czego chce.

Mieszka razem z kolegą swoim, z drem Kreplem, sypia do południa, włóczy się po domu jak Marek po piekle, dysputuje z jakimś Grotwiczem i malarzem Mieleckim, piorunuje przeciw marnościom tej ziemi, a je z apetytem fornala, który wychodzi ze świtem w pole.

Choruje niby na wolę, na brak chęci do życia, na przeanalizowanie, słowem na ową niemoc modną, przeniesioną do nas z Francyi i wyzyskaną już kilka razy w naszej powieści spółczesnej. Takiego zdechlaczka moralnego odtworzyli: Mańkowski („Hrabia August"), H. Sienkiewicz („Bez dogmatu"), Leon Belmont („W wieku nerwowym"), Krechowiecki („Najmłodsi"), a obecnie usiłował uczynić to samo i Gawalewicz.

Usiłował, bo grube, odręcznie rzucone rysy nie wystarczają do odmalowania typu tak złożonego, jakim jest nowoczesny pesymista. Psycholog musi odsłonić powody zwyrodnienia fizycznego i moralnego, sięgnąć głęboko do mętnych źródeł dzisiejszego zwątpienia, musi starannie motywować, jeżeli chce, aby czytelnik uwierzył. U nas zwłaszcza, gdzie trudniej o pełnego bankruta aniżeli we Francyi, inne bowiem warunki wytwarzają inne potrzeby i poglądy, należy ujemnych rezonerów ze wszystkich stron oświetlić.

Gajski Gawalewicza nie powiada, dlaczego mu nudno na ziemi; to zaś, co mówi, co wykrzykuje raczej od czasu do czasu, przypomina więcej niesforne wybuchy studenckie człowieka, dającego folgę złemu humorowi, niż skargi człowieka sponiewieranego przez życie. Są to ogólniki, nietłumaczące bynajmniej jego apatyi.

To samo odnosi się do Grotwicza, pseudofilozofa, wyrażającego się gwarą mędrkującego stróża.

Dziwna zresztą, że człowiek tak dobrego towarzystwa jak Gajski, obcuje tylko ze źle wychowanymi, ordynarnymi drapichrustami, bo takie chyba określenie należy się Grotwiczowi i Mieleckiemu.

Zupełnie niepotrzebnie wplótł Gawalewicz do romansu Krempla i Eugenii swoich niby-pesymistów i materyalistów. Ani oni na czynność wpływają, ani jej tło ilustrują, więc obyłoby się bez nich doskonale.

Gdyby ich nie było, zyskałaby treść na jednolitości, a budowa na zwięzłości. Z ostatnią zwłaszcza nie umie sobie Gawalewicz radzić.

Jak w „Mechesach", komponuje i w „Mgle" szufladkowo, że się tak wyrażę. Postaci swoich nie wprowadza w miarę, jak mu są potrzebne i nie pokazuje ich w akcyi, sytuacyjnej czy psychologicznej, co robi dziś nietylko dramaturg, lecz także powieściopisarz, ale potrąca o nie wówczas, kiedy mu przyjdą na myśl i opowiada sam od razu całą ich bjografię, psychologię, pozbawiając się w ten sposób własnowolnie środka do podtrzymania ciekawości czytelnika. Tak samo komponuje między Francuzami Bourget, z czego jednak nie wynika, aby był dobrym architektem.

Grotwicza np. opisuje Gawalewicz szczegółowo, choć go jeszcze nie ma na scenie.

Błąd ten dziwi tem więcej, że Grotwicz ukazuje się bezpośrednio po informacyi autora w mieszkaniu Gajskiego, więc mógł się w chwili właściwej sam odsłonić.

Mimo powyższych wad technicznych, które nie pozwalają zaliczyć „Mgły" do lepszych dzieł Gawalewicza i mimo powierzchowności charakterystyki, czyta się ostatnią powieść utalentowanego autora przyjemnie, dzięki prześlicznej miłości Krempla i potoczystej naracyi. Gawalewicz opowiada z taką łatwością, tak lekko przesuwa się po charakterach i sytuacyach, że nie może nikogo zmęczyć.

Takim darem łatwego słowa nie rozporządza Wincenty Kosiakiewicz, którego powieść „W miasteczku" (nakład Gebethnera i Wolffa) należy do nowości bieżących.

Autor „Naszego małego" upodobał sobie od pewnego czasu szczególnego rodzaju opowiadanie, djalogowanie i opisowość. Już w „Rodzinie Łatkowskich" zestawiał szczegóły obok szczegółów, nie łącząc ich w całość artystyczną. „Oryginalność" tę posunął w „Miasteczku" do możliwych, raczej niemożliwych granic.

Ignac chodził nieustannie z kąta w kąt; łzy mu płynęły po twarzy, które obcierał zupełnie już mokrą chustką. Co parę chwil podchodził do okna i zaglądał w szyby. Pędzińska zajęta była obiadem; kartofle właśnie się dogotowywały, zupę należało posolić. Nie wiele ją wzruszały cierpienia syna. Płacze, to niech sobie i płacze. Właśnie rzuciła garść soli do gotującej się w żelaznym garnku zupy, gdy weszła otyła sąsiadka z przeciwka.

— Dzień dobry, kumo.

— Jak się macie, kumo.

Łzy, kartofle, zupę, kumę... wszystko to wyrzuca z siebie Kosakiewicz razem, jednym tchem nie malując ani tła, ani stanów psychologicznych. Tak skąpym stał się w słowa, że dziw, iż w ogóle opowiada.

Oto n. p. jego djalog między kochankami.

— A ty nie idziesz za mąż? — pyta on.

— Abo mi pilno — odpowiada ona.

— Masz lata.

— Czekam na kogoś.

— Na kogoż?

— Na ciebie...

Parsknęła śmiechem.

— A cóż, myślisz, żebym się z tobą nie ożenił? — mówi on.

— E?

— Żebyś tylko mnie chciała.

Zaniechała roboty.

— A myślisz, żeby ci źle ze mną było — wyrzekła.

— Co miałoby być źle.

— Jabym potrafiła z tobą dać sobie radę.

— E!

— Ty jucha jesteś!

— Co ty gadasz?

— Jucha, mówię ci, jak gadzina, ale jabym cię tak wzięła w swoje ręce, żebyś pisnąć nie mógł. Robiłbyś wszystko, cobym ci kazała.

— A robiłbym — rzekł — z ochotą.

— I słuchałbyś każdziuśkiego mojego słowa?

— A słuchałbym.

— Słuchałbyś?

— Słuchałbym.

— A jakbym ci kazała na dach wleźć i piać jak kogut?

— Myślisz, że nie umiem?

I zapiał jak kogut.

— Ku-ku-ryku...

I tam dalej... Gra fizyognomii, modulacya głosu, charakterystyka dyalogu, słowem, cała plastyka malowidła nie obchodzi nic Kosiakiewicza, który zapomniał od pewnego czasu, że epika nie dopełnia aktor, bo rzeczą jego dać pełny obraz charakteru albo wypadku. Czytelnik nie ma obowiązku domyślać się, przyodziewać szkieletu w ciało, nie ma potrzeby zaokrąglać i ożywiać szkiców autora, który się na to uwziął, aby jak najmniej powiedzieć.

Powieść nie jest dramatem. Bogactwo słowa i szczegółowe malowanie stanowi właśnie jej istotę.

W ostatniej powieści swojej („W miasteczku") zamierzał Kosiakiewicz odtworzyć rodzaj ludzi, mało znanych w naszej beletrystyce. Pokazał nam cały szereg „łyków", czyli obywateli małych miasteczek.

Bardzo marnie wygląda ta kasta w oświetleniu Kosiakiewicza.

Ignacy Pędziński kocha się w ładnej Mańce Dobrowolskiej i udaje na wstępie powieści srogiego Otella. „Zabiję rywala, uduszę go, kości mu połamię, a jej, niewdzięcznej, dach nad głową spalę."

Nie zabił, nie spalił, lecz, kiedy mu stryj nakazał, ubrał się w surdut i poszedł na ślub współzawodnika, a potem nawet na wesele.

Ten stryj, stary Pędziński, ogrodnik, jest właściwym bohaterem powieści, około niego bowiem obraca się cała czynność.

Bogaty, skąpy, samolubny, troszczy się bardzo mało o rodzinę, ale ona za to o niego tem więcej. Boć przecież kiedyś umrze ten stary chciwiec, a ponieważ nie ma dzieci, przeto weźmie po nim ktoś jego majątek. Idzie tylko o to, kto? czy wdowa po jego bracie, czy też wdowiec po siostrze.

Starania Pędzińskiej, bratowej i Marczyńskiego, szwagra, podejmowane w celu ujęcia nieuczynnego bogacza, wypełniają połowę powieści Kosiakiewicza. Ohydne to zabiegi, odsłaniające podłość moralną „łyków".

Z nienawiści dwóch rodzin korzysta ostatecznie tylko stary skąpiec. Obiecując schedę to bratowej, to szwagrowi, wyjada się u nich, napija, ma troskliwą opiekę w chorobie, a bezpłatną pomoc w swoim ogrodzie, krewni bowiem przesadzają się w przysługach i grzecznościach.

Daremnie trudzili się, wykosztowali. Stary umarł wprawdzie, ale nic nie zrobił dla rodziny, bo wystraszywszy się kary pogrobowej za egoizm całego życia, zapisał majątek kościołowi.

„Łyki" Kosiakiewicza nie budzą sympatyi. Chciwi na grosz aż do podłości, brutalni w uczuciach, samolubni bez miary, pozbawieni jakichkolwiek szlachetniejszych myśli, wzruszeń i celów, zasługują tylko na pogardę.

Odpowiedzialność za to czarne malowidło spada oczywiście na autora, który z naszych współczesnych beletrystów zna najlepiej świat małomieszczański.

Teodor Jeske-Choiński.

łożył ją niegdyś hr. Henryk Chambord, były właściciel klucza łomniańskiego, a kiedy po kilku latach drogą spadku cały majątek przeszedł na własność Roberta ks. Parmy, teścia dzisiejszego księcia bułgarskiego, fabryka w Łomnie była w rozkwicie i należała do pierwszych zakładów przemysłowych w kraju. Potem interesa poczęły iść coraz gorzej i ruch musiano ostatecznie wstrzymać. Teraźniejszy właściciel hr. Stanisław Wiśniewski nabył już tylko puste budynki fabryczne.

Handel futrami. Kupcy rosyjscy, handlujący futrami, oddawna już starają się o zogniskowanie swego handlu w granicach Rosyi i o przeniesienie głównego targu na futra z Lipska. Obecnie, jak donoszą z Petersburga, główni inicyatorowie tego projektu przesłali do ministeryum skarbu memoryał, w w którym poruszają na nowo tę kwestyę i proponują środki, jakich trzebaby użyć dla przeprowadzenia ich zamiarów, przyczem jako główny punkt jarmarczny radzą obrać nie Moskwę ani Niżny Nowogród, lecz Warszawę.

Ze Szczawnicy nam piszą:

Tegoroczny sezon w Szczawnicy nie będzie się zaliczał do świetnych; pierwszy okres prawie nie istniał, albowiem pomimo cen zniżonych, jak zwykle na początku, deszcze i to deszcze ulewne zatrzymały w domu i tych, którzy rozporządzając skromnymi środkami, pragną jednak podreperować zdrowie; drugi okres, również deszczowy, powstrzymał kuracyuszów i dopiero, gdy się rozpoczął trzeci i ostatni od 15 lipca, Szczawnica ożywiła się nieco, ale w porównaniu do lat przeszłych ożywiła się słabo utrzymując zaledwie tradycyę świetnych dawniejszych towarzystw, które wykwintnością i ruchliwością pozostawiły miłe wspomnienie dla wszystkich, co tam byli, leczyli się i bawili. Bo niech tam kto chce i co chce mówi, ale przyjemne próżniactwo i rozrywka, stanowią lwią część w naszych i nie naszych uzdrowiskach. Do tego czasu bawiło w Szczawnicy tysiąc kilkaset osób — wiele już odjechało, a po trochu codzień przypływa, jednak z lepszego towarzystwa w tym sezonie mało, mianowicie też z Królestwa i Rosyi daleko mniej, jak lat poprzednich, mimo, że kurs rubla jest wcale dobry.

Bawi tu z żoną i córką b. minister Dunajewski; zamieszkał w willi Batorego i używa swobody w całej rozciągłości nie krępując się towarzyskiemi ceremoniami; — pani ministrowa i jej córka służą za wzór dystynkcyi i towarzyskiej prostoty. Były prezes warszawskich teatrów, dziś senator p. Sergiusz Muchanów przebywa w Szczawnicy z całą rodziną, która pilnie uczęszcza na różne przedstawienia w tutejszym teatrze. Ze świata literackiego i artystycznego zawitali na kuracyę do Szczawnicy artyści i literaci: Siennicka, Zawadzka, Siemaszkowie, Wernerowie, Ruszkowski z Krakowa, Barcewicz skrzypek z Warszawy, Lucyna Ćwierczakiewiczowa z Warszawy, H. Rewakowicz ze Lwowa, Dzikowski-Chamski redaktor ze Lwowa, Fuchs śpiewak z zagranicy, Jankowski redaktor „Ogrodnika“ z rodziną z Warszawy i wielu innych.

Nowe rządy p. Wiśniewskiego na tak zwanej „górnej“ Szczawnicy, pozyskały uznanie i trzeba przyznać, że p. Wiśniewski dokłada wszelkich starań, aby zakład „górnej Szczawnicy“ podnieść na stanowisko europejskie.

„Nie odrazu Kraków zbudowano“, więc i w „górnej“ Szczawnicy w jednym sezonie, mimo najusilniejszych starań i zabiegów, nie da się wszystkiego zaraz przeprowadzić, ale energia pana Wiśniewskiego, jest wielka i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że każdy sezon zapisze się dobrze w rozwoju tej prawdziwej królowej zdrojowisk polskich.

Druga część Szczawnicy: Miodziuś pod zarządem p. doktora Kołączkowskiego prześlicznie się rozwija pod każdym względem, a szlachetna emulacya pomiędzy dwoma zarządami, przyczynia się nie mało do ogólnego podniesienia Szczawnicy. Hydropatyczny zakład na Miodziusiu, stanowiący osobistą własność dra Kołączkowskiego, jest rzeczywiście urządzony po europejsku. Zdumiewać się przychodzi zręczności i troskliwości górali i góralek wykonywujących obsługę w tym zakładzie, obsługę, która jest niezmiermie skomplikowana i musi być stosowana do najdrobniejszych przepisów lekarza. Ten zakład hydropatyczny oddaje ogromną usługę szczawnickim kuracyuszom zwłaszcza, że nad wszystkiem, co się w nim dzieje, czuwa niezmordowanie dr. Kołączkowski.

Prozaiczna strona pobytu w Szczawnicy, nie pozostawia nic do życzenia: mamy tu tak dobre dwie restauracye Oleksy z Tarnowa i Jałoszyńskiego z Warszawy, że we Lwowie tylko w niektórych pierwszorzędnych jadłodajniach równie dobrze i równie zdrowo żywią. Warszawska restauracya p. Jałoszyńskiego pozyskała niepodzielne uznanie, odznacza się bowiem nietylko wykwintnością, lecz pożywnością, czystością i wzorową usługą.

Do tego czasu mieliśmy dwa „baliki“, jak ich tu nazywają „reuniony“ — nie bardzo wprawdzie liczne, ale za to ochocze — młodzież hasała aż się ziemia, a raczej podłoga, dość zresztą wrażliwa na choreograficzną energię, trzęsła... Kilka teatralnych przedstawień cieszyło się powodzeniem, ale teatru stałego niema i już w tym sezonie nie będzie. Jeden wieczór odbył się na cześć ś. p. Lenartowicza — składał się z kilku odpowiednich fragmentów, śpiewu i gry na fortepianie, występowali p. Werner, pani Jaworowska (śpiewaczka), pani Siemaszkowa i panna Wachtlówna. Drugi wieczór humorystyczny, był pożegnalny kilku członków krakowskiego teatru, którzy udali się ztąd do Zakopanego. Przedstawienie to było zajmujące — grano z werwą i humorem, a lwią część oklasków zebrali pani Siemaszkowa, panna Wachtlówna i p. Werner.

Bandytyzm. W Viterbo, pod Rzymem toczy się przed sądem karnym sprawa dobitnie świadcząca, że niemało jeszcze wody upłynie w Tybrze, zanim w kraju, „gdzie pomarańcze kwitną“, zniknie bandytyzm. Złe zakorzeniło się głęboko. Już w roku 1820 Papież Leon XII rozkazał dowódzcom żandarmeryi rozwinąć energiczną działalność celem wytępienia rozbójnictwa. Zabroniono wówczas mieszkać wieśniakom w okolicy Viterbo i chcąc zapobiedz, aby nie wspomagali bandytów, nie pozwalano pod karą śmierci wychodzić z domu z zapasami żywności. Rozbójnicy na czas pewien przycichli, ale z czasem znów odzyskali przewagę. Obecnie w okolicy Viterbo już od lat trzydziestu gospodaruje dwóch sławnych bandytów, których ująć nikt nie mógł, czy też nie śmiał do tej pory. Są to: Tibursi i jego synowiec Fioraventi. Nie mogąc uwolnić się od nich, rząd postanowił przynajmniej ukarać ich wspólników i rozkazał urządzić obławę, której rezultatem było ujęcie około 200 osób. Proces przeciwko nim toczy się właśnie. Podzielono go na 5 seryi, z racyi wielkiej liczby oskarżonych. Śledztwo zaraz na wstępie wykryło, iż służba szpiegów odznaczała się wyborną organizacyą. Mnóstwo osób brało w niej udział i ostrzegało bandytów o każdym ruchu żandarmeryi. Wobec tego policya zdobyła się na czyn heroiczny i aresztowała całą ludność miasteczka. W liczbie uwięzionych znajdują się: syn, brat, siostry, wujowie i ciotki osławionego Tibursiego. Dalej pokazało się, iż mieszkańcy płacili rozbójnikom roczną rentę. W książce rachunkowej u jednego z oskarżonych znaleziono taksę, według której opłacali się zamożniejsi mieszkańcy; jeden n. p. płacił rocznie 900 franków, inny 400.

Tibursi ze swym synowcem zaczęli uważać Viterbo za własną posiadłość, zawierali kontrakty z rolnikami, którzy za pewną cenę kupowali sobie bezpieczeństwo, słowem opłacali premię asekuracyjną od rozbójnictwa tak, jak się płaci od pożarów lub gradobicia. Biada tym, którzy nie chcieli składać oznaczonej sumy! Najpierw otrzymywali ostrzeżenie, później znikało im bydło, paliły się stodoły i śpichrze, a w końcu kula pozbawiała życia niesfornych. Na ławie oskarżonych zasiedli przedstawiciele rozmaitych warstw społecznych: urzędnicy, poczynając od mera, właściciele ziemscy, włościanie, rzemieślnicy i t. p.

Sąd doraźny. Klasyczna kraina amerykańskiego „lynchu“, miasto Bardwell w stanie Kentucky, przypomniała się znowu światu.

Pewien murzyn, nazwiskiem Charles Miller, zamordował tam dwie siostry, szesnasto i czternastoletnią, które jako białe nie chciały słyszeć o jego afektach miłosnych. Oddział policyjny, złożony z kilku ludzi, ujął mordercę niebawem; atoli na drodze do więzienia zastąpił mu tłum wzburzonych obywateli miejscowych, po krótkiej utarczce odbił uwięzionego i ruszył wraz z nim ku centralnej ulicy miasta, gdzie stała już wysoka żerdź, do której morderca miał być przywiązany i doraźnym sądem żywcem spalony. Ojciec nieszczęśliwych dziewcząt miał ogień pod stos podłożyć. Policya wszakże, wzmocniona siłami wojskowemi, wróciła niebawem. Tłum, ujrzawszy nadciągającą siłę zbrojną, zaniechał poprzednio ułożonego aktu zemsty i poprzestał na powieszeniu zbrodniarza na najbliższem drzewie. Wykonano to tak szybko, że gdy wojsko się zbliżyło, murzyn już nie żył.

O aresztowaniu kogokolwiek z pomiędzy 7000 ludzi, przyglądających się temu widowisku, nie mogło być nawet mowy.

Stan powietrza. Termometr + 14° Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe + 17 stopni Reaum. Barometr 760. Podnosi się.

Na raucie.

Głupkowaty gogo. Jakże prędko uleciał mi czas w towarzystwie pani!..

Młoda panienka. Jakiż on szczęśliwy, że mógł odlecieć.

Teatr. Dziś we czwartek w teatrze letnim po raz drugi: „Józefina sprzedana przez swe siostry“, operetka w 3 aktach P. Ferriera i F. Carré, z muzyką W. Rogera. — Jutro w piątek w teatrze letnim: „Nasze anioły“, komedya w 3-ch aktach Michała Wołowskiego. Gościnny występ p. Mieczysława Frenkla, artysty teatrów warszawskich.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Znakomity artysta teatrów warszawskich, były członek skarbkowskiej sceny i ulubieniec lwowskiej publiczności, p. Mieczysław Frenkiel, rozpoczął w poniedziałek szereg gościnnych występów na naszej scenie, rolą Marecata, w sławnej komedyi Sardou „Nasi najserdeczniejsi“. Publiczność witała artystę bardzo gorąco. Gdy wszedł na scenę w audytoryum zawrzała burza oklasków. Lwowianie miłego gościa, który wyborną swą grą i przepysznym humorem nie jedną uprzyjemnił im chwilę, przyjmowali szczerze i serdecznie, a później podczas przedstawienia ciągle darzyli go hucznemi brawami. Na oklaski te p. Frenkiel w zupełności zasłużył, znakomita gra jego była prawdziwą biesiadą artystyczną dla widzów. Gdy p. Frenkiel przed kilku laty bawił na naszej scenie, był już wybornym artystą, w tych latach, gdy był zdala od Lwowa grę swoją jeszcze więcej wykształcił, w drobiazgach wyrzeźbił i śmiało powiedzieć można, że dziś jest pierwszorzędnym komikiem polskim w wielkim stylu, godnym następcą nigdy nieodżałowanego Żółkowskiego. Postąpił także p. Frenkiel pod względem charakterystyki zewnętrznej i maska jego, która dawniej była zimną i nie dość ruchomą dziś zyskała na ruchliwości i wyrazistości. Scena, w której Marecat opowiada o przygodzie swej Noci była odegraną prawdziwie po mistrzowsku, głos, gra twarzy i oczu, cała postawa wybornie ilustrowały wypowiadane przez artystę słowa i dawały dokładną fotografię uczuć, jakie wrzały wówczas w piersi Marecata. Scena ta wywarła na widzach ogromne wrażenie; mistrzowską grę artysty darzono hucznymi oklaskami.

Ensemble nie bardzo dzielnie sekundował warszawskiemu gościowi. Jedynie pan Zawadzki (Tholosau) grał bardzo dobrze i zbierał kilkakrotnie przy otwartej scenie liczne oklaski.

Wczoraj występował pan Frenkiel w komedyi Przybylskiego „Dwór w Władkowicach“ w roli Bąbeckiego. Swym szczerym złotym humorem ubawił wybornie licznie zebraną publiczność i dał pyszną postać komicznego fabrykanta czekolady. Licznym oklaskom, którymi publiczność nagradzała przepyszną grę artysty, nie było końca.

Głosy publiczności.

Z Malawy, w powiecie rzeszowskim, piszą nam: Wszystkim mieszkańcom powiatu rzeszowskiego, jarosławskiego, łańcuckiego, kolbuszowskiego, krośnieńskiego i niskiego, którzy się przyczynili do pomnożenia funduszu na zreperowanie kościółka św. Maryi Magdaleny staropolskie „Bóg zapłać“ składa w imieniu komitetu *X. Obłoj*, proboszcz.

Rozmaitości.

— **„Cesarzowa niemiecka u siebie“.** Pismo angielskie *Pall Mall Budget* w artykule zatytułowanym „Cesarzowa niemiecka u siebie“ zamieszcza mnóstwo interesujących szczegółów z życia obecnej władczyni zjednoczonych Niemiec.

Cesarzowa, zdaniem autora pomienionego artykułu, nie należy bynajmniej do postaci poetycznych, nie ma w sobie nic z bohaterek Szekspira i w niczem niepodobna do królewien z bajek. Natomiast nie ma obecnie na żadnym z tronów europejskich kobiety, umiejącej wywiązywać się ze swej misyi z taką godnością i sumiennością, jak ona. Te to przymioty pozyskały jej miłość i szacunek ludności.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, iż Wilhelm II nie zawarł małżeństwa z miłości. Charakteru zapalczywego i upartego zarazem, najstarszy syn księcia Fryderyka, zaledwie wyszedł z wieku młodzieńczego, rozgorzał gwałtowną miłością do kuzynki, księżniczki Elżbiety Hesko-Darmsztadzkiej. Matka młodego księcia nie miała nic przeciw temu projektowi, który zapewniał tron najstarszej córce jej ukochanej siostry Alicyi, która zmarła w kwiecie wieku, osierocając pięcioro dzieci.

Na nieszczęście projektowane małżeństwo księcia Wilhelma nie przypadło do gustu Bismarkowi. Wiadomo, iż kanclerz w okresie swej największej potęgi, lubił łączyć racye stanu z osobistemi zachceniami. Pod protekstem, iż dyplomacya angielska zyskałaby nadto wielkie wpływy na dworze berlińskim, założył veto przeciwko małżeństwu księcia Wilhelma z wnuczką królowej Wiktoryi. W rzeczywistości jedynym powodem była obawa, by kiedyś cesarzowa Fryderykowa nie pozyskała zbyt wielkiego wpływu nad synem, który wszedł w związki z kobietą przez nią wybraną.

Stary cesarz Wilhelm I, który sławę swą gruntował na posłuszeństwie okazywanem Bismarkowi, rozstrzygnął sprawę na niekorzyść wnuka, któremu zalecił naśladować abnegacyę, jakiej sam dał niegdyś przykład, wyrzekając się ręki księżniczki Radziwiłłówny.

Po unicestwieniu zamiarów księcia Wilhelma, książę Bismark wystąpił sam w roli swata i wybrał mu żonę. Młoda monarchini, pochodząca z rodu, którego członkowie zasiadają na tronach w Szwecyi, Danii, Oldenburgu i Grecyi, jest najstarszą córką księcia Fryderyka Szlezwig-Holsztein-Sanderburg-Augustenburskiego, nie wydawała się przeznaczoną do noszenia korony cesarzowej niemieckiej. Jej ojciec posiadał więcej tytułów niż majątku i po bezskutecznych staraniach, celem uzyskania utraconego księstwa, zamknął się w zamku Dolzig, gdzie wiódł życie bardzo skromne. Książę Fryderyk, niegdyś haniebnie wyprowadzony w pole przez księcia Bismarka, zdumiał, gdy dawny przeciwnik z 1864 roku ofiarował mu zadosyćuczynienie za dawne krzywdy w formie prośby o rękę najstarszej córki dla księcia Wilhelma. Wrażenie, jakie sprawił ten krok niespodziewany, przyczyniło się, jak mówią, do śmierci starego księcia, który przez lata prześladowany ciężko od losu, nie był zdolny przyjąć spokojnie nagłego zwrotu fortuny.

Racyą stanu, a raczej pretekstem użytym przez Bismarka do usprawiedliwienia tego związku, miała być chęć przywiązania do dynastyi ludności księstw nadelbańskich, przez danie im cesarzowej w osobie córki dawnego władzcy Szlezwigu i Holsztynu, — w istocie jednak kanclerzowi chodziło o wzniesienie na tron księżniczki, która, z racyi swych stosunków, pochodzenia i wychowania, nie byłaby zdolną do pokrzyżowania jego planów. Wszechmocny minister w przekonaniu, że egzystencya jego jest wieczną, nie miał ochoty rozpoczynać po raz trzeci walki, którą wiódł z babką i matką księcia Wilhelma. Skazany na wieczną wojnę z cesarzową Fryderykową i cesarzową Augustą, kanclerz nabrał nieprzezwyciężonego wstrętu do księżniczek wszechstronnie i wysoko wykształconych.

Skromna, ale praktyczna edukacya, otrzymana na zamku Dolzig, usunęła podejrzenia ambitnego kanclerza, że przyszła monarchini Niemiec zapragnie kiedyś odegrać rolę polityczną. Berlińczycy, którzy odznaczają się upodobaniem w szorstkich żartach, nie oszczędzali narzeczonej księcia Wilhelma i przyznawali jej wyjątkowy talent w zakresie kulinarnym. Księżniczka położyła koniec tym dowcipom pamiętnemi słowy: „lepiej dla kobiety jeżeli umie piec ciasto, niż układać konstytucyę“.

Dowcipnisie zamilkli, a młoda księżna swym taktem zdobyła sobie szybko popularność. W oczach poddanych miała ona tę ważną zaletę, iż była nawskróś Niemką — z urodzenia i wychowania, Niemką z cery, postawy i silnej budowy, Niemką od stóp do głów.

Książę Bismark powinszował sobie wyboru, a cesarz Wilhelm był szczęśliwy, iż pozyskał w swej synowej uosobienie cnót narodowych, a nawet przyszłemu monarsze Niemiec, który nie entuzyazmował się, zawierając małżeństwo, jako żołnierzowi wyćwiczonemu i karnemu, nie pozostało w końcu nic innego, jak oddać sprawiedliwość cnotom niemieckim najbardziej niemieckiej ze wszystkich księżniczek rzeszy.

Cesarzowa Augusta Wiktorya lubi wstawać rano i w każdej porze roku jest już na nogach o g. 7-mej; je śniadanie sam na sam z cesarzem i wstawszy od stołu, zabiera się niezwłocznie do pracy. Pod jej czujnem okiem cały personal pałacowy manewruje z dokładnością pułku gwardyi.

Marszałek dworu zjawia się najpierw, ale ten kanclerz kuchni cesarskiej dalekim jest bardzo od wszechwładnej lub zupełnej niezawisłości. Jego rola ogranicza się do proponowania menu, które cesarzowa przegląda troskliwe i często zmniejsza rachunek pieniężny, jeśli okoliczności tego wymagają.

Potrawy z nazwami francuskiemi są wykluczone z jadłospisu raz na zawsze. Przy większych ucztach występuje orkiestra dworska i cesarzowa układa zawsze troskliwie program muzykalny. Rozumie się, że Wagnerowi poświęca lwią część tego programu, jakkolwiek Weber, Sullivan i Delibes nie są z niego wykluczeni.

Obiady urzędowe trwają zawsze godzinę, ani minuty więcej lub mniej. Szereg sług stoi około stołu w przepisanej odległości, a każdy z nich usługuje dwom gościom, których mu niewolno spuszczać z oka przez cały czas uczty. Lokaj, który przez lenistwo lub nieuwagę dopuści się najmniejszego błędu, nie ujdzie oka cesarzowej i nazajutrz otrzymuje surową naganę.

Jedynym zbytkiem cesarzowej Augusty Wiktoryi, na który nie szczędzi pieniędzy, są... dzieci. Jedną z główniejszych jej trosk jest staranie, by zawsze były wykwintnie ubrane i by mundury wojskowe, które mali książęta nosić muszą, leżały jak najlepiej. Następca tronu w dziesiątym roku życia mianowany został lejtnantem grenadyerów gwardyi i musiał przywdziać historyczną bermycę, którą ten pułk zachował z czasów przeszłego stulecia. Z kolei i drugi syn cesarza otrzymał stopień lejtnanta i skazany został na noszenie takiego samego munduru.

Byłoby pochlebstwem utrzymywać, że cesarzowa trzyma berło mody. Zarzucają jej zbytnie zamiłowanie w kolorach jaskrawych i w materyach o barwach mieniących. Długie treny z jej tualet są stanowczo wykluczone z racyi, którą cesarz Wilhelm przytoczył podczas ostatniej swej bytności w Wiedniu. Cesarz pragnął przywieźć swej małżonce do Berlina w podarku suknię, a ponieważ sam o tego rodzaju sprawunkach nie ma najmniejszego pojęcia, udał się o pomoc do arcyksiężnej Stefanii. Arcyksiężna wybrała prześliczną suknię koloru herbacianego i kupno już było dokonane, gdy cesarz, ujrzawszy tren dwumetrowej długości, zawołał: „Cesarzowa nigdy nie będzie mogła nosić tej sukni, w jednej chwili podarłaby ją w kawałki, bo ma zawsze około siebie czworo lub pięcioro dzieciaków, czepiających się spódnicy.“

Córka księcia Fryderyka Augustenburskiego, zanim została cesarzową, nie przeczytała ani jednego romansu. Nie ma także czasu na czytanie od chwili wstąpienia na tron. Umie gruntownie po francusku i po angielsku, lecz nie czuje potrzeby zaznajamiania się z bieżącym ruchem literackim. Wolne chwile od zajęć poświęca haftowaniu sztandarów wojskowych i haftom, które rozdaje na imieniny członkom rodziny cesarskiej.

Ale demon literatury nie traci nigdy swej mocy. Nawet ci z panujących, którzy najmniej okazują wrażliwości na objawy życia umysłowego, sami bywają autorami pracującymi dla przyszłych pokoleń. Co wieczór cesarzowa spisuje swe wrażenia w książce, opatrzonej w zamek, od którego złoty kluczyk zawsze nosi przy sobie. Z końcem roku tom notatek chowa do kasy ogniotrwałej, w której znajdują się klejnoty. Nawet cesarz Wilhelm nigdy nie może zajrzeć do tych książek, którym Augusta-Wiktorya powierza tajemnicę swego życia.

Ten dziennik cesarzowej stanowić będzie kiedyś nieoszacowany materyał dla historyków przyszłości.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 18 lipca.

(Z.) Duszna, nieznośna atmosfera zawisła nad wszystkimi targami pieniężnymi Europy. Zachodnie giełdy: paryska i londyńska niepokoją się wypadkami syamskimi, nasz targ cierpi skutkiem drożyzny złota, w Berlinie zaś dotkliwie daje się uczuć brak gotówki i podnosząca się skutkiem tego stopa procentowa. Największe zamięszanie panuje jednak w Londynie, półmiesięczna likwidacya sprowadziła tam bankructwo jedenastu firm. Straty kursowe bowiem w papierach, stanowiących główny przedmiot obrotów na targu londyńskim, wynoszą z górą trzydzieści milionów funtów szterlingów, a przez dwa dni nie można było na giełdzie sprzedać literalnie ani jednej akcyi amerykańskiej, gdyż nawet po najniższej cenie nikt nie chciał ich kupować. Nowa pożyczka brazylijska pomimo, że wypuszczona przez pierwszorzędny dom bankierski, bo przez londyńskiego Rotszylda, stoi o 10 procent poniżej kursu emissyjnego. Kontrmina berlińska i dziś atakowała nasze renty i kredyty, które też uległy dalszej zniżce. Tylko papiery kolejowe i niektóre przemysłowe cieszyły się jakim takim popytem.

Z Medyolanu donoszą, że brak drobnych pieniędzy w całych górnych Włoszech przybiera rozmiary formalnej klęski. W wielu fabrykach czekają robotnicy już od pięciu dni na zapłatę, gdyż ani w kasach państwowych, ani w bankach nie można dostać drobnej monety, nawet banknoty małe jednolirowe pouciekały gdzieś z obiegu. W Medyolanie wypłacają niektóre firmy swoich robotników markami sporządzonemi z aluminium, które w mieście przyjmują za gotówkę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 334·70, węgierskie 410·25, Anglobanki 150·—, Uniony 249·50, Bankvereiny 120·70, Länderbanki 246·80, Ludwiki 218·75, Czerniowieckie 256·25, Renta papierowa 97·60, srebrna 97·30, austryacka złota —·—, 4% austr. renta wal. kor. —·—, węgierska złota 115·50, 4% węgierska renta wal. kor. 94·60, dukat 5·89, 20-frankówka 9·91—, marki 12·23—, ruble 1·30½.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 18 lipca.

Z powodu niestałej pogody żniwa się opóźniają, a ciągłe deszcze niekorzystnie działają na urodzaje, bo zboża się powaliły, a miejscami pojawia się rdza obok niezmiarki, tak, że ogólny stan urodzajów u nas, które do niedawna bardzo ładnie się zapowiadały, obecnie znacznie gorzej się przedstawia. Dowozy zmniejszają się tymczasem, tak, że oprócz pszenicy i jęczmienia z Królestwa, nic prawie nie nadchodzi.

Z tych powodów targ dzisiejszy odbył się w usposobieniu dobrem. Pszenicę, mianowicie czerwoną i żółtą, dalej jęczmień, żyto i owies kupowano chętnie, a ceny, które z początku słabo się trzymały, następnie w miarę wzmagającego się pokupu doznały nawet małych polepszeń. Obroty ograniczone były na pszenicę i żyto, ponieważ zapasy krajowego jęczmienia i owsa prawie już wyczerpane.

Płacono: za pszenicę białą od 8·80—9·10, za czerwoną od 8·90—9·40, za żółtą od 8·90 do 9·35; za żyto od 7·50—7·75; za jęczmień browarny od 6·70—7·00, na kaszę od 6·30 do 6·70; za owies od 7·25—7·85; wyka 6·50—7·10; bób 6·50—6·70. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z krakowskiego Zakładu kontumacyjnego na Prądniku.** Targ na nierogaciznę. Przypędzono na targ dnia 17 i 18 lipca 2027 sztuk. Notowano: prosięta —.— zł., chude —.— zł., mięsne —·— zł. Wszystko za parę. Tuczne płacono 35–38 ct. za klgr. żywej wagi.

Załadowano do krajów monarchii 1950 sztuk.

A. Gottlieb, dyrektor targu.

§ **Targ na nierogaciznę.** Na wtorkowy targ w Wiedniu dowieziono 1800 sztuk galicyjskiej żywej nierogacizny, płacono 34—38 zł., za towar przedni 38—41 zł. za 100 kilo żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 20 lipca. Tegoroczny międzynarodowy targ zbożowy odbędzie się tu 28 i 29 sierpnia.

Senat akademicki wydalił na zawsze z wszechnicy wiedeńskiej dwóch studentów ruskich Alexiewicza i Jaworskiego, którzy byli aranżerami demonstracyi przeciw ks. metropolicie Sembratowiczowi. Śledztwo akademickie przeciw reszcie studentów, którzy brali udział w tej demonstracyi, jest jeszcze w toku.

Londyn 20 lipca. Do „Biura Reutera“ donoszą z Santos w Brazylii, że tysiące ludzi umiera tam na żółtą febrę. Wszelki ruch handlowy ustał, w porcie stoi 45 okrętów na kotwicy i nie może wyruszyć w drogę, gdyż załoga ich wymarła, a 20 okrętów nie ma kapitanów. Setki trupów gniją w rzece, zanieczyszczając powietrze.

Paryż 20 lipca. Przebywającemu tu rewolucyoniście włoskiemu Ciprianiemu nakazano opuścić Francyę na zawsze. Na prośbę Ciprianiego dano mu kilka dni czasu do uporządkowania swych interesów.

Sąd policyi poprawczej skazał niejakiego Sartera, wydawcę tygodnika finansowego, na miesiąc więzienia za to, że w oszczerczych artykułach napadał na instytut *Credit foncier*. Nadto ma Sarter zapłacić temu instytutowi 300.000 franków odszkodowania i ogłosić wyrok swoim kosztem w kilkudziesięciu dziennikach.

Komunikat urzędowy prostuje wczorajsze doniesienie o ultimatum w sprawie syamskiej w ten sposób, że Syamowi udzielono nie 24 godzinnego ale 48 godzinnego terminu do odpowiedzi na ultimatum Francyi.

Belgrad 20 lipca. Wczoraj uchwaliła skupczyna 102 głosami wnieść oskarżenie przeciw b. liberalnemu gabinetowi Awakumowicza i wybrała bezwłocznie komitet wykonawczy z 12 członków. Ministrowie wstrzymali się od głosowania.

Chrystiania 20 lipca. Storthing norweski uchwalił wypowiedzieć wspólność służby konsularnej szwedzko-norweskiej i oznaczyć 1 stycznia 1895 jako ostateczny termin, w którym muszą zacząć funkcyonować samoistni konsulowie norwescy.

Wiedeń 20 lipca. Hr. Kalnoky powrócił tutaj.

Przyjechali do Lwowa

dnia 20 lipca 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Stan. Wybranowski z Kimirza. J. Skobielski z Czerniowiec. K. Wisłocki z Litwy. Dr. F. Fruchtmann ze Stryja. R. Kober z Wiednia. J. Pichler z Wiednia. A. Richter z Wiednia. J. Pfleger z Boratyna. L. Kaiser z Wiednia. K. Marmoross z Karowa. A Zbiszewski z Podhajec.

HOTEL EUROPEJSKI. M. Lewandowski z Reklińca. A. Wojczyńska z Sądowej Wiszni. Ant. Huczkowski z Berna. M. L. C. Cassant z Francyi. S. Dorudniak z Tarnopola. S. Tepper z Majdanu Średniego. A. Reiss z Wiednia. B. Heller z Sokala. S. Tauszyński z Bakowca. Dr. J. Pressen z Milatyna. W. Czajkowski z Przemyśla M. Arbański z Haczowa.

HOTEL METROPOLE. L. Susiński z Rawy. N. Zielińska z Manyjowa.

HOTEL IMPERIAL. G. Romer z Zabełcza O. Podlewska z Czernicy. Z. Horodyński ze Zbydniowa. O. Horodyński ze Zbydniowa. M. Arwatowski z Bucniowa.

HOTEL ZORZA. A. br. Brunicka z Lubienia. S. Matkowski z Sokołowa. W. hr. Breza z Podleszan. Z. Wiszniewski z Putiatycz. M. Massilko z Bukowiny. Dr. W. Kiesler z Czerniowiec. G. Nowotny z Biskupia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Dnia 12 bm. odbył się popis uczniów szkoły ludowej w Szczercu. Młoda to szkoła, bo rok dopiero liczy, a przecież udział młodzieży znaczny, przewyższa cyfrę 50. Dziatwa się garnie do szkoły, bo otacza ich opieka prawdziwie ojcowska, jakiej doznają ze strony JWnych Państwa hr. Kruzenszternów. Bo i dziś, gdy po popisie rozdawano nagrody. obecni na tymże oboje JWni Państwo hr. Kruzenszternowie hojnie obdzielili uczącą się młodzież obuwiem i odzieniem, a w imieniu tych biednych, których tak sowicie zaopatrzyliście na zimę, którym otarliście niejedną gorzką łzę, składamy prawdziwą podziękę Wam JWni Państwo!

Szczerzec dnia 12 lipca 1893.

Ks. Józef Dołoszycki przewodniczący. *Walerya Kukółczanka* nauczycielka.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 20 lipca godz. 2. min. —.

Akcye kred.	335·75	Gal. oblig. propinacyjne	98·15
Alpiny	53.90	Wied. losy	175·—
Kredyty węg.	413·50	Akcye tyton.	186·25
Anglobanki	150·50	4% Poż. kraj. z r. 1893	97·10
Uniony	250·—	Elbethale	236·25
Ludwiki	219·—	Länderbanki	247·60
Nordbany	288·—	Renta zł. węg.	115·40
Lombardy	103·75	Bankvereiny	121.50
Losy tureckie	48·45	Węg. renta p.	94·65
Staatsbahny	306·75	Ruble	1.31·25
Czerniowieckie	256·—		

Usposobienie słabsze.

Z izby handlowej. Lwów 20 lipca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą	żądają
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	217 75	220 75
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	255 —	258 —
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	360 —	— —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	215 —

2. Listy zastawne za 100 zł.

	płacą	żądają
Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101 —	101 70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110 —	110 70
Banku hip. 4½% los. w 50 lat.	100 10	100 80
Banku krajowego 4½% w. a.	100 50	101 20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98 —	98 70
„ „ „ 4% los. w 41½ lat.	98 50	99 20
„ „ „ 4½% „ 52 lat.	100 —	100 70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98 50	99 20

3 Obligi za 100 zł.

	płacą	żądają
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97 90	98 60
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102 25	— —
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102 25	— —
Pożyczka krajowa 6%	105 —	— —
„ „ 4½%	100 30	101 —
„ „ 4%	96 70	— —
„ „ 4% koronna	96 90	97 60

4. Losy.

	płacą	żądają
Losy miasta Krakowa	23 —	25 —
Losy miasta Stanisławowa	40 —	43 —

5. Monety.

	płacą	żądają
Dukat holenderski	5·85	5·95
Napoleondor	9·85	9·95
Półimperyał rosyjski	10.—	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1·30—	1·32
„ „ papierowy	1·30—	1.32—
100 marek niemieckich	60·80	61·70—

75)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— Gorączka... w tym wieku... przy takim silnym organizmie... To musi być coś groźnego. Czy mówią, że jest w niebezpieczeństwie?..

— Obawiam się, że tak. Doktor Topham lęka się, że...

— Jedźmy! — przerwałam gorączkowo. — Jedźmy zaraz! O! jakże Bogu dziękuję, że przybyłam w porę!

Skierowałam się pośpiesznie ku drzwiom, ale Hugon posadził mnie napowrót na krześle i łagodnie przytrzymał moje dłonie.

— Bądź cierpliwą, najdroższa. Obmyśliłem już wszystko.

— Obmyśliłeś! Ależ tu nie ma czasu do stracenia.

— I owszem, mamy czas, tylko zechciej się uspokoić. Przedewszystkiem, o ile wiem, pani Sandyshaft jest ciężko chora, ale nie umierająca. Powtóre, o tej spóźnionej porze nie odchodzi żaden pociąg.

— Ależ końmi pocztowemi...

— Końmi pocztowemi moglibyśmy podróżować bardzo niewygodnie całą noc, wtedy gdy wyjechawszy koleją jutro rano, staniemy w Ipswich w niespełna cztery godziny. Nie zyskalibyśmy więc nic na czasie.

— Masz słuszność, Hugonie — rzekłam po krótkim namyśle. — Wybacz mojej niecierpliwości.

— Przebaczam ci równie szczerze, jak ty przebaczasz twojej ciotce jej długie zapomnienie i obojętność.

— Nie mów tego, mój drogi. Pamiętam tylko w tej chwili jej dawne przywiązanie.

Oznajmiono wieczerzę i zasiedliśmy do stołu.

Pomimo, iż mój mąż twierdził, że był zagłodzony, jadł mało i nie silił się odzyskać chwilowej swej wesołości. Gdy uprzątnięto stół, podano mu fajkę, ale godzina zwykłej naszej poufnej pogawędki przeszła w milczeniu. Ciemna chmura, która od kilku tygodni zawisła nad czołem mego męża, osiadła na niem, czarna jak ta noc rozpostarta nad światem, ciężka jak brzemię przygniatające mi piersi.

O! Goody, miałaś słuszność! Istnieją przeczucia prawdziwe. Jutro... jutro już będę daleko!

ROZDZIAŁ VIII.

Po pięciogodzinnej, nużącej podróży, stanęliśmy nazajutrz w Stoneycraft, między trzecią a czwartą po południu. Zostawiwszy podróżną karetę, która nas przywoziła ze stacyi, w zajeździe, udaliśmy się pieszo ku dworowi.

Deszcz padał od samego rana, ale teraz chmury zaczynały się przerzedzać, a po za nich słońce przeświecało jaskrawo, połyskując na wilgotnych, obwisłych liściach drzew i kałużach, wyżłobionych wpośrodku drogi.

— Dobry wieczór, przyjacielu — zawołał Hugon do przejeżdżającego fornala. — Jak się miewa twoja pani?

— Źle, wielmożny panie — odparł sługa, zdejmując czapkę. — Oto właśnie jedzie doktór. Może go jaśnie pan zapytać. On wie najlepiej.

W tejże chwili samotny jeździec ukazał się na zakręcie ścieżki. Chciał nas minąć, ale mój mąż zastąpił mu drogę.

— Doktorze Topham — rzekł — mam nadzieję, że nie pominiesz mnie jak nieznajomego.

— W Imię Ojca i Syna... — zawołał doktór. — Czy mnie oczy mylą, czy widzę pana Farguhara z Broomhill?

— W jego własnej osobie — dokończył mój mąż, i obadwaj serdecznie uściskali się za ręce.

— Ależ pan zawsze zjawiasz się niespodzianie jak duch — rzekł poczciwy lekarz. — Uczyniłeś to samo przed kilku laty i poruszyłeś tem całą okolicę. Z jakiejże części świata przybywasz, sir?

— Z Włoch, gdzie bawiłem rok cały — odparł Hugon.

— Z Włoch? no proszę! A ten łgarz Randall, dowodził mi, że rezydujesz gdzieś w Ameryce. A to mnie okłamał — rzekł doktór, spoglądając na mnie.

— Randoll jest wiernym sługą i umie dotrzymywać tajemnic swego pana.

Doktór poskrobał się w ucho zakłopotany i znów spojrzał na mnie.

— Musiałeś pan już słyszeć, jakie mamy zmartwienie — odezwał się po chwili. — Nasza przyjaciółka, pani Sandyshaft, jest chora, bardzo chora. Gorączka, upadek sił, ogólny stan bardzo niedobry. Dziś odwiedzam ją już po raz drugi.

— Słyszałem o tem i to właśnie przyspieszyło mój powrót. Ale nie przedstawiłem panu jeszcze mojej żony. Barbaro, wszak pamiętasz doktora Tomphama?

Mały człowiek zdjął szybko kapelusz i skłonił się nizko.

— Ja... ja... to jest... na honor... niespodzianka za niespodzianką, jak mi Bóg miły... — jąkał się biedny doktór. — Miło mi jest nieść zaszczyt... to jest... przyjemność, powinszować... A niech mnie licho!.. Tak jestem zdumiony, że sam nie wiem co plotę!

— Zdumiony, że Benedicka widzisz żonatym i że Beatrycya okazuje się dawną twoją znajomą? Czy tak, doktorze? — zaśmiał się Hugon.

Doktór stanął jak wryty.

— Co?... Daruj pan, ale jakkolwiek zaszczycony jestem obecnie znajomością pani Farguhar, jednak nie mogę rościć sobie praw...

— Wstyd, doktorze! — zawołałam, wdając się między nich — Jakto? nie poznajesz pan Barbarki... małej Barbarki Churchill?

Doktór w jednej chwili zsiadł z konia, rzucił kapelusz o ziemię i wziąwszy mnie w ramiona, ucałował w oba policzki.

— Od dzisiaj — rzekł — już nigdy nic mnie nie zadziwi na świecie.

Ujął cugle konia w rękę i wszyscy troje skierowaliśmy się ku domowi.

— Rad jestem, nieskończenie rad, żeście państwo przybyli — rzekł. — I to dobrze się stało, żem was spotkał na drodze. Obawiałbym się zbyt silnego wzruszenia dla chorej, a tak przygotuję ją stopniowo. Widok twojej twarzy, Barbaro, uzdrowi ją lepiej od moich pigułek... ach, przepraszam... dawne przyzwyczajenie... powinienem był powiedzieć pani Farguhar.

— Nie, nie, doktorze. Nazywaj mnie po imieniu.

— Dobrze więc. Liczę bardzo na ciebie, Barbaro, że dopomożesz mi przyprowadzić ją do zdrowia. Jakże ona tęskniła za tobą!

— Doprawdy? — podchwyciłam żywo. — Czy słyszałeś to pan z jej własnych ust?

— Czy słyszałem? Ależ mało powiedzieć setki razy...

— Więc nie zapomniała o mnie? Droga ciotka!

— Gdyby była zapomniała, czyżby cię wzywała do siebie?

— Mnie... wzywała? Jakto? kiedy?

— No, rozumie się. Przecież musiałaś otrzymać mój list i skutkiem tego przybyłaś.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski** — Papier braci Fiałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodek.